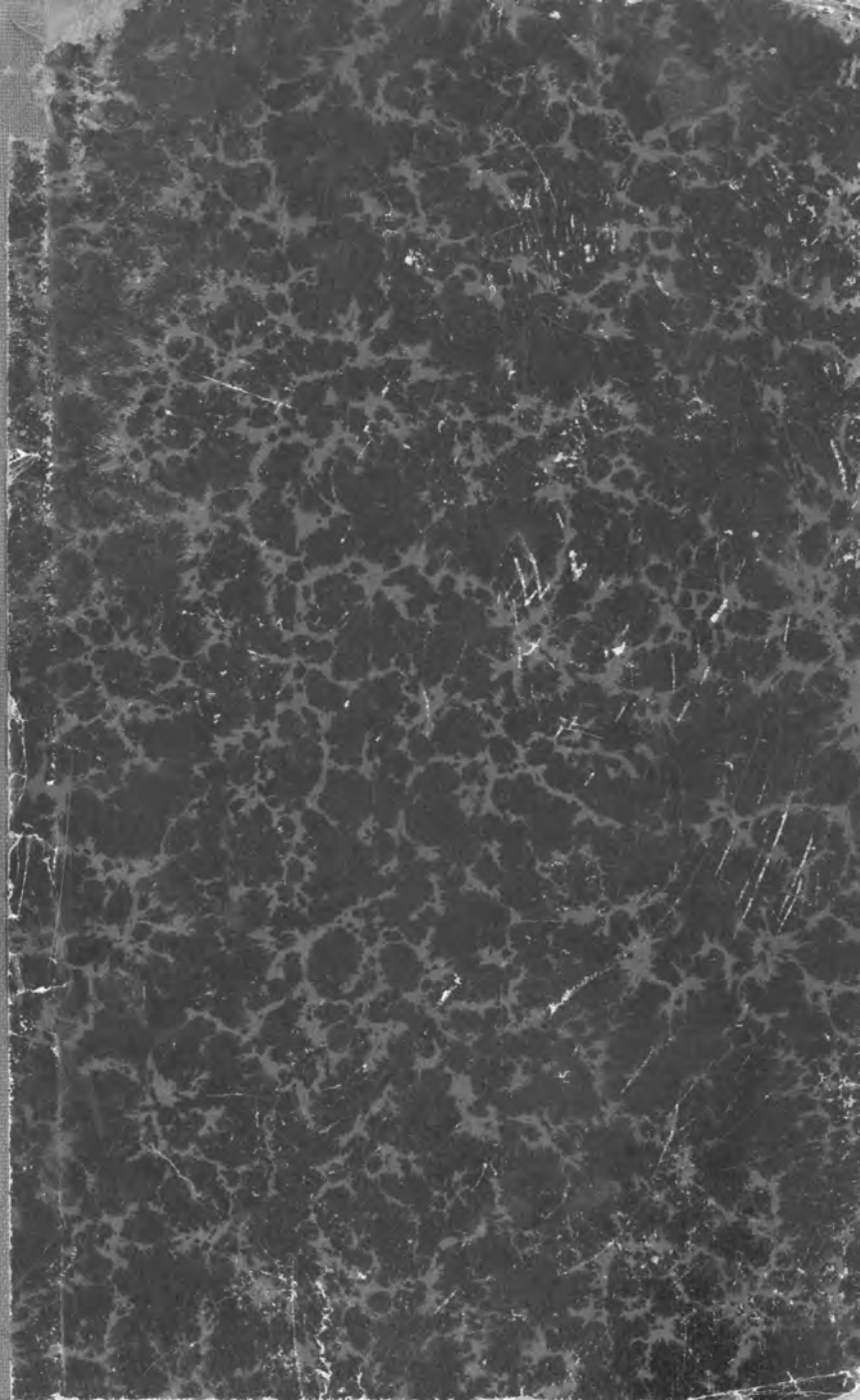


62344



970  
M. Brzeziński,

3273

# STANY ZJEDNOCZONE

62344 g.

## Ameryki Północnej.

(Z licznymi rysunkami).

Wydanie drugie.

No. 1017. 1764 Z.



CZYTELNIA

WARSZAWA

Skład główny w Księgarni Polskiej, Warecka N. 14.

—  
1907.

✓  
nr 1459  
jest me  
pian. wypr. Ekster



914 (02.053.2)

73

## 1. Stany Zjednoczone Ameryki północnej; ich początek, położenie i granice.

W sto lat jeszcze po odkryciu Ameryki środkowej przez Kolumba, cały obszar lądu amerykańskiego, położony dalej ku północy, nieznan był zupełnie Europejczykom. Na obszarze tym, dwakroć większym od Europy, rozciągały się olbrzymie stepy i puszcze, przerwane ogromnymi rzekami, połyskujące taflami wielkich jezior, pełne dzikiego zwierzaja i groźnych czerwonoskórych mieszkańców. Nawpół nadzy, z ciałem pomalowanym w dziwne znaki, w odzieży upiękzonej pękami piór lub ogonami bawołów, uzbrojeni w dzidy i łuki, żyli ci pierwotni synowie Ameryki licznymi gromadami, przechodząc z miejsca na miejsce po stepach i lasach, łowiąc ryby w rzekach, polując na jelenie i dzikie bawoły.

Dopiero w roku 1607-ym na wschodnie wybrzeże tej nieznannej krainy po raz pierwszy wylądowała gromadka rybaków angielskich. Nie musiała im jednak podobać się ta pusta, lasami zarosła okolica, gdyż porzucili ją czym prędzej, śpiesząc z powrotem do Anglii.

Lecz już w parę lat później inna gromada Anglików, ze 100 ludzi złożona, spróbowała osiąść na nowej ziemi. Za nimi w ślad około roku 1615-go osiedliło się paruset Holendrów, założywszy osadę Nowy Amszterdam, w miejscu, gdzie dziś leży dwumiljonowe miasto Niu-Jork.

Dla tysięcy ludzi z Europy otworzyło się teraz ujście za Ocean Atlantycki, do Ameryki, do tej nowej ziemi, gdzie czekała ich praca ciężka, ale korzystna. Początkowo setki, a potem tysiące Anglików, Szkotów, Irlandczyków, Niemców i Francuzów emigrowało ze starej Europy na Zachód, zakładając osady [na wschodnim] wybrzeżu Ameryki północnej. Środkową część tego wybrzeża zajęli Anglicy i Szkoci; na północ i południe od nich osiedlili się Francuzi; pomiędzy nimi żyli Holendrzy i Niemcy. Wkrótce jednak Anglicy i Szkoci wzięli górę nad innymi osadnikami. Rozrodzili się szybko, pokarczowali lasy, osuszyli bagna, pobudowali osady i miasteczka — i w ciągu niespełna lat 30-u dali początek ludnej, przeszło 20 tysięcy głów liczącej kolonji, którą nazwali Nową Anglią. Z podziwem patrzyli czerwonoskórzy Indianie na tych nieproszonych przybyszów, których od białej skóry przezwali „blademi twarzami“ — i przed ich ognistą bronią, której lekali się nadzwyczajnie, ustępowali w głąb kraju.

Te pierwsze osady angielskie dały początek dzisiejszemu państwu Stanów Zjednoczonych.

Tymczasem corok ludzi przybywało. Parokrotne głady w Irlandji i Niemczech wypędziły z siedzib ojczystych dziesiątki tysięcy emigrantów angielskich, irlandzkich i niemieckich; osady rosły jak na drożdżach, dając początek nowym kolonjom, rozciągającym się wzdłuż brzegów Atlantyku. Do osadników białych dołączyły się gromady czarnych niewolników murzyńskich, sprowadzanych z Af-

ryki. Dość, że w lat niespełna 150, około roku 1750-go, nowopowstałe kolonje angielskie w Ameryce miały już przeszło milion mieszkańców, których liczba w ciągu następnych lat trzydziestu wzrosła do trzech milionów.

Powstały liczne i bogate miasta; nad morzem zakładano porty; kraj zakwitł uprawami polnymi i rozpoczął się ożywiony handel pomiędzy młodemi kolonjami, a starą ich macierzą — Anglią.

I byłoby może szło tak dalej, gdyby nie chciwość Anglików i ich chęć przewodzenia nad kolonjami amerykańskimi. Pragnąc ciągnąć z nich jak największe zyski, rząd angielski niebacznie zaczął nakładać wysokie opłaty na towary z Anglii dostarczane. Rozpoczęły się niezgody i narzekania, które doprowadziły do wojny pomiędzy Anglią a trzynastoma kolonjami północno-amerykańskimi. Wojna z różnym szczęściem trwała od roku 1776 do 1782-go. Koloniści, którzy już teraz chętnie nazywali się Amerykanami, wyteżyli wszelkie siły i środki. Z pośród tego nowego, pełnego sił i dzielności społeczeństwa, zjawili się ludzie wielkich zdolności, niewyczerpanej pracy i poświęcenia — jak Jerzy Waszyngton, Benjamin Franklin i inni; z Europy przybyli na pomoc generałowie Lafajet i Kościuszko. Wreszcie w r. 1782-im Anglija zwyciężona, zmuszoną została podpisać pokój i uznać niezależność kolonji amerykańskich. Kolonje, przyjąwszy nazwę Stanów, utworzyły Związek i pod nazwą Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej wystąpiły na widownię dziejów. Było to lat temu 125.

Odtąd rozpoczął się niesłychany wzrost tego młodziutkiego i w tak dziwny sposób powstałego państwa. Posuwając się dalej ku zachodowi, Stany przylączyły do swego Związku coraz nowe obszary, dopóki nie oparły się o zachodni brzeg ładu — o Ocean Wielki. W r. 1805-ym

Francja odprzedała Stanom swoje kolonie południowe (Luizjanę); w roku 1821-ym Hiszpanja oddaje im również na południu Florydę; w roku 1848-ym od Meksyku przyłączają prowincje zachodnie; następnie Rosja sprzedaje im na północy osobno leżący obszar Alaski. Dziś państwo to, prawie w oczach naszych wyrosłe, zajmuje obszar niewiele mniejszy od całej Europy, z 80 ma blisko milionami mieszkańców.



Na tej mapie Stany Zjednoczone i Alaska narysowane są białą, niekratkowaną.

Przyjrzyjmy się na załączonej mapie położeniu i granicom Stanów Zjednoczonych. Zajmują one całą środkową część Ameryki północnej, z dodatkiem leżącej na północnym zachodzie Alaski.

Od zachodu oblewa je Ocean Wielki. Od wschodu — a po części od południa — Ocean Atlantycki, za którym na prawo (na wschód) leży Europa. Pośrodku tej granicy z Atlantykiem widać wysunięty w ocean płat lądu — jest to półwysep Floryda. Na lewo od Florydy leży część morza, zwana zatoką Meksykańską. Na południe od Florydy widać wyspę Kubę, z powodu której była nawet niedawno wojna, oraz inne wyspy: Hajti (niezależna), Portoryko (dawniej hiszpańska, lecz po wojnie przyłączona do Stanów), Jamajka (angielska) i wiele pomniejszych.

Całą północną granicą, od oceanu Atlantyckiego do Wielkiego, Stany Zjednoczone stykają się z posiadłościami angielskimi, zwanymi Ameryką angielską. Na południu graniczą z Meksykiem.

Od chwili powstania swego aż dotąd Stany Zjednoczone żyły życiem własnym, odrębnym, niewiele wtrącając się do spraw i sporów politycznych reszty świata. Zawsze czerpiąc wiedzę, starały się o rozwój swego przemysłu, handlu i oświaty — rozumiejąc, że w nich leży prawdziwa pętlega.

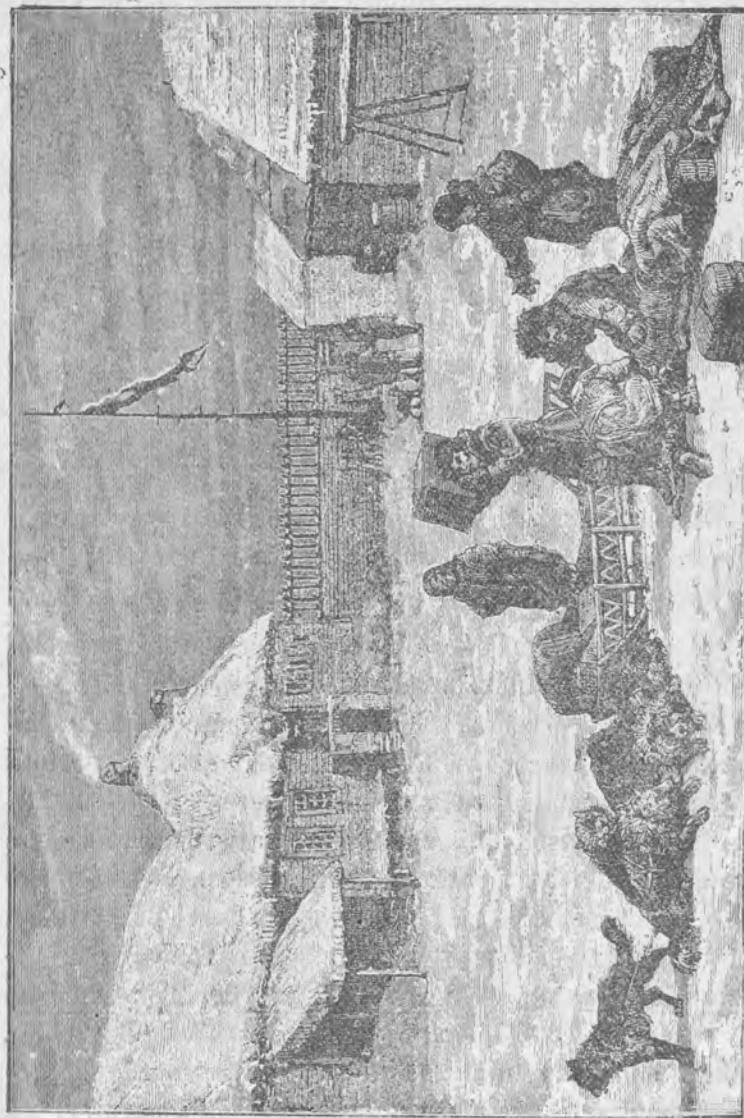
Parę razy zaledwie w ciągu istnienia prowadziły wojny: raz z Meksykiem, drugi raz pomiędzy sobą (r. 1861—1865), gdy chodziło o zniesienie niewolnictwa, na co bogaci plantatorzy Stanów na południu leżących zgodzić się nie chcieli. W roku 1898-ym, z powodu wyspy Kuby, to młode, a tak potężne państwo, w obronie swojej amerykańskiej sąsiadki wystąpiło do zwycięskiej walki ze starą, resztek swych wielkich niegdyś posiadłości broniącą Hiszpanją.

## II. Przyroda Stanów Zjednoczonych.

Im rozleglejszym jest kraj, tym większą różnorodność przedstawia zwykle jego powierzchnia, klimat, roślinność, zwierzęta, słowem—jego przyroda. Taką właśnie wielką różnorodność spotykamy w Stanach Zjednoczonych, ciągnących się na 600 mil wszerz, a 300 blisko wzdłuż, i zajmujących około 170 tysięcy mil kwadratowych przestrzeni. Przejeżdżając kolejami ten ogromny obszar, w ciągu paru dni możemy znaleźć się w niebotycznych górach i na rozległych równinach, w dzikich puszczech leśnych i węgrowskich folwarkach, w wieczystych śniegach i wśród gajów palmowych.

Północno-zachodnia, osobno leżąca część Stanów, zwana Alaską, przedstawia krainę dziką, pustynną, mroźną, przez znaczną część roku śniegami pokrytą. Tylko na południu górzystą część tego kraju ożywiają wielkie bory iglaste, pełne zwierza. Pomiędzy górami przerywa się w poprzek duża rzeka Jukon, nad brzegami której w ostatnich czasach odkryto obfite pokłady złota. Zresztą ziemia tutaj nieurodzajna, — na złocie leżąc, z głodu umrzeć można. Nieliczne plemiona tamtejszych mieszkańców, podobnie jak sąsiedni Eskimowie i Kamczadale, żyją nędznie z połowu ryb, fok i wielorybów, lub z polowania na zwierzęta dostarczające futer.

Właściwy obszar Stanów Zjednoczonych, leżący znacznie na południe od Alaski, przedstawia się inaczej. Przebiegnijmy go myślą wszerz, od Oceanu Wielkiego do Atlantyku. Od zachodu, na samym brzegu Oceanu Wiel-



WIDOK Z ALASKI.

kiego, jak olbrzymia ściana, ciągną się z północy na południe wysokie góry—Kordyljery. Stojąc tuż nad morzem, czynią one kraj z tej strony niedostępnym i przeszkadzają wilgotnym wiatrom morskim przeniknąć w głąb z dobroczynnymi deszczami.

To też za Kordyljerami leży pustynna płaska wyniosłość, stanowiąca najlichszą część Stanów, zwana wyżyną Słonego jeziora, albo pustynią Uta. Za nią ciągnie się rozgałęziony łańcuch gór Skalistych.

Wierzchołki wielu tych gór pokryte są wieczystymi śniegami, dającymi początek licznym rzekom. Boki ich porastają lasy świerkowe i jodłowe. W niektórych okolicach drzewa tamtejsze dochodzą do nieznanych u nas rozmiarów. Rośnie tam np. Sosnogrom, zwany inaczej Waszyngtonją, którego pień dorasta do 300 łokci wysokości, a grubość jest taka, że na ściętym pniu 20 par może mazure tańczyć... Po parę tysięcy lat życia mają te drzewa!

Prócz rozległych borów, bogactwem tej górzystej części Stanów Zjednoczonych są także pokłady drogich kruszców: złota, srebra i rtęci. Nigdzie na świecie niema tyle złota i srebra, co w Stanach Zjednoczonych: złota w Kordyljerach, bliżej oceanu, srebra zaś w górach Skalistych. Północno-wschodnia część gór Skalistych, tam gdzie na mapie znajdziemy początek rzeki Missuri, jest z innego jeszcze powodu bardzo ciekawą. Na znacznej przestrzeni, zwanej „Krajem cudów“ lub „Parkiem narodowym“, porozrzucane są tutaj setki źródeł gorących, tryskających w górę do 100 i 200 łokci, rzeki i jeziora wody gorącej, wysokie wodospady, skały poszarpane o dziwacznych barwach i kształtach, skamieniałe lasy i głębokie parowy, na dnie których z szumem toczą się rwące potoki. Oko podróżnika z zachwytem błdzi po tych dziwacznych, a myśl



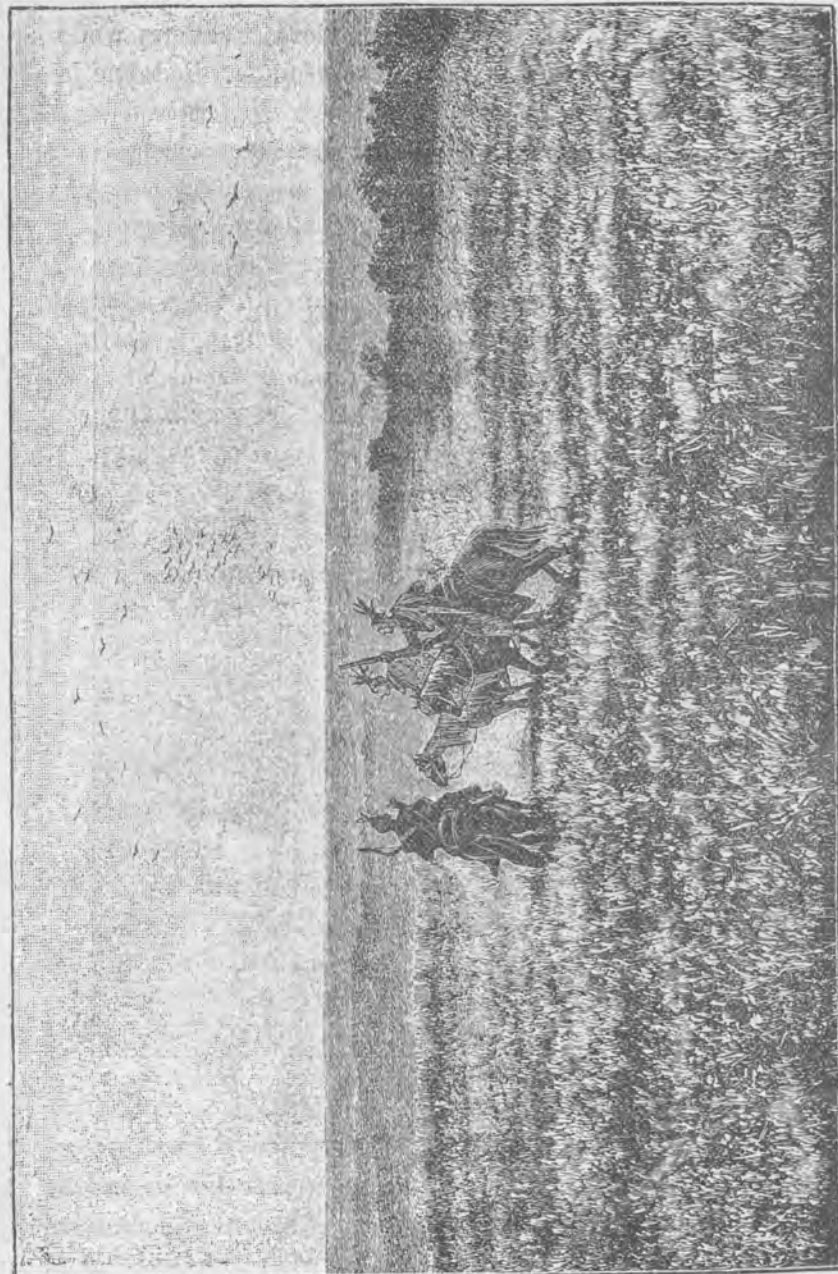
WĄWÓZ W GÓRACH SKALISTYCH.

strwożona cofa się o tysiące lat wstecz, gdy cała ta okolica była krainą ziejącą podziemnym ogniem.

Ale oto dalej ku wschodowi powierzchnia stopniowo się zniża, przechodząc w szeroką równinę, środkiem której toczy się bystrą falą „Ojciec wód“ — rzeka Missisipi, ze swemi licznymi dopływami. Ta wielka nizina, zajmująca środkową część Stanów, to słynne Prerje — olbrzymi step Ameryki północnej, jeden z największych na świecie. Jak okiem zasięgnąć, zieleni się to nieskończone morze traw, nad którymi gdzieniegdzie wystrzelają kępy drzew i zarośli lub skórzane namioty wioski indyjskiej. Czasem przemknie z tententem stado dzikich bawołów, groźnie potrząsając kudłatemi głowami; czasem strzałą przeleci jeleń, gnany przez wilki stepowe; orły i sępy kołyszą się w chmurach; jadowity wąż grzechotnik pełźnie, szeleszcząc suchą trajkotką, a krocie drobnych zwierzątek kryją się w trawach i jamach, lub wygrzewają na pagórkach.

Niegdyś Prerje roily się licznymi gromadami czerwonoskórych Indian. Dziś tylko w części północnej można spotkać jeszcze resztki tych synów stepu.

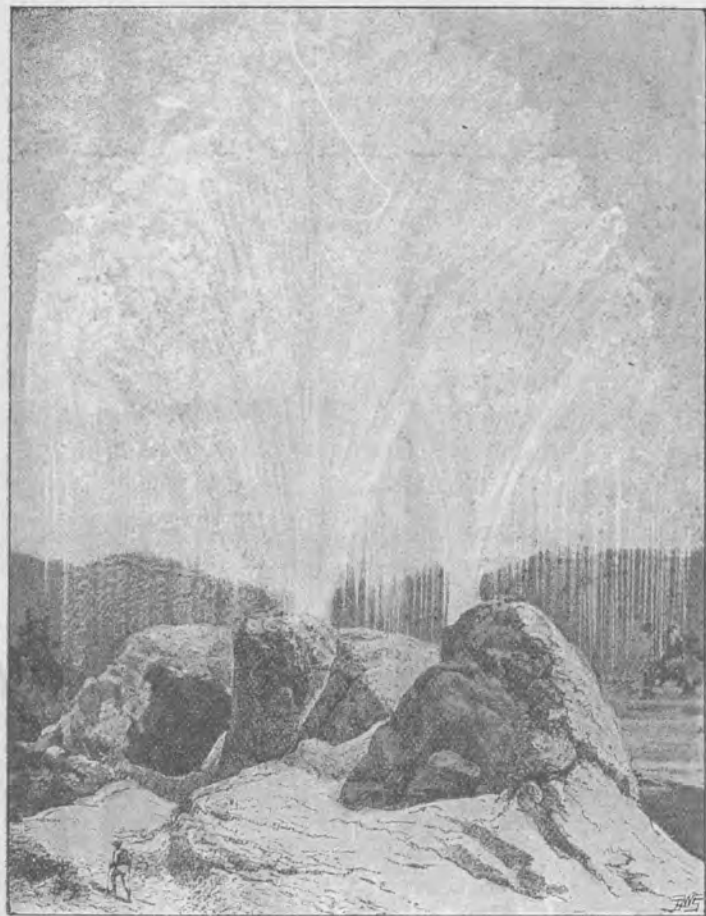
Jeszcze dalej ku wschodowi step znika, zamieniając się w obszar pól uprawnych. Za niemi znów wznosi się wał gór: to Allegany, porośnięte lasami dębów, klonów, jesionów i innych drzew liściastych. I tutaj, podobnie jak w górach Skalistych, znajduje się bardzo ciekawa okolica, znana pod nazwą „Jaskini mamutowej“. Jestto wielka pieczara podziemna, wyżłobiona przez wody w skale wapiennej. Ciągnie się ona dwie mile wzdłuż, dzieląc się na liczne korytarze i piętra, przedstawiające razem 240 wiorst długości. Są tam ogromne jaskinie, ze stropu których zwieszają się grube sople wapienne, tysiące słupów wapiennych podpierających ich wyniosłe sklepienia, spodem płyną wartkie rzeki



STEP, ZWANY PRERJAMI.



podziemne, rozlewają się rozległe jeziora i szumią wodospady, ginące w niezgłębionych czeluściach. Podobne ja-



WYTRYSK WODY GORĄCEJ.

skinie i rzeki podziemne mamy także w Europie — w Karyntji i Krainie, a piękne pieczary wapienne podziwiać możemy nawet u nas w kraju — w Ojcowie i pod Olsztynem.

I na powierzchni ziemi w okolicy Alleganów nie brak dziwów. Wody tamtejsze, przesiąknięte wapnem, spadając po skałach, osadzają to wapno i tworzą z niego okrągłe kamienne zbiorniki, niby miski, z których woda przelewa się kaskadami.

Najważniejszym jednak bogactwem tej krainy są niewyczerpane źródła ropy naftowej, pokłady węgla kamiennego, rudy żelaznej i miedzi. To też tutaj, w północno-wschodniej części Stanów, powstał doszedł do najwyższego stopnia rozwoju przemysł górniczy i fabryczny.

Resztę Stanów Zjednoczonych — od gór Allegańskich aż do Atlantyku, — zajmuje nizina gęsto zaludniona, uprawna, pokryta niwami zbóż, sadami owocowymi i plantacjami roślin przemysłowych: bawełny, trzciny cukrowej i tytoniu.

Prócz bogactw przyrodzonych, zawartych w łonie ziemi i pokrywających jej powierzchnię, Stany Zjednoczone posiadają jeszcze jeden ważny warunek rozwoju: mnóstwo rzek wielkich, żeglownych, po większej części połączonych ze sobą kanałami.

Najważniejszą z nich jest wspomniana Mississipi. Jestto jedna z najdłuższych rzek na ziemi, 5 razy dłuższa od Wisły — ma bowiem pięć tysięcy wiorst długości. Jeśli zaś liczyć za jej początek wielką rzekę Missouri, wpadającą z prawej strony — to miałaby ona siedem tysięcy wiorst, a więc byłaby najdłuższą na świecie. Początkowo Mississipi płynie przez gęste puszcze leśne, dotąd mało zaludnione. Dalej jednak przerzyna się już przez stepy, pola uprawne i plantacje, obsługując liczne miasta i osady nadbrzeżne, niosąc na swych wielkich, do okrętów podobnych parostatkach zboże, bawełnę i inne płody przemysłu amerykańskiego. W miarę jak wpadają do niej liczne, a ogromne do-

plywy (Missuri, Arkanzas, Ohjo)—rzeka rośnie i rozszerza się, zamieniając się w obszar wodny, którego brzegów



ZBIORNIKI WAPIENNE W ALLEGANACH.

trudno dojrzeć. Przy ujściu dzieli się ona na setki ramion, opływając namulną wyspy i wysepki, jakie sama usypała, zagrządzając sobie wolny wypływ do morza.

Z innych rzek w Stanach Zjednoczonych wspomniemy: Kolumbję i Kolorado, wpadające do oceanu Wielkiego, oraz Rzekę Północną (Rio del Norte) i Świętego Wawrzyńca — do oceanu Atlantyckiego. Ta ostatnia prawie nie płynie w Stanach Zjednoczonych, ale za to do nich należy część jezior, z których rzeka Świętego Wawrzyńca bierze początek. Jest ich pięć: Górne, Hurońskie, Mieczygan, Eri i Ontarjo—połączone ze sobą tak, że wody jednego zlewają się bezpośrednio lub zapomocą rzeki do następnego jeziora. Tutaj właśnie na rzece Niagara, łączącej jezioro Eri z Ontarjo, znajduje się słynny wodospad Niagarski— „Huczący grzmot“ lub „Wielki szum“, jak nazywają go Indjanie. O parę mil odległości wiatr donosi już głuchy odgłos tego potwornego — na wiorstę przeszło szerokiego, a do 30 sążni wysokiego spadku wody. Rzeka Niagara zwężona w tym miejscu wysokimi brzegami, urywa się nagle, z wściekłym rykiem spadając w głąb srebrzystą plachtą wody, w postaci wielkiej podkowy, przerwanej sterczącą pośrodku skałą. Śnieżne tumany pyłu wznoszą się od stóp wodospadu, jak z olbrzymiego kotła, w którym woda wre i huczy, kłębi się i pieni, spiętrzając się w wysokie bałwany. Każdy podmuch wiatru porywa kłęby gęstej mgły i rosi ulewą. Wicher huczy i wyje wśród skalistych brzegów. W lśniących smugach podkowy, w kurzawie pyłu wodnego przegląda się słońce, barwiąc je wspaniałymi łukami.

O wiorstę przed wodospadem rzucono przez rzekę most kolejowy, skąd widać Niagarę w całej jej wspaniałości, — a dla podróżnych urządzono ścieżki, któremi dostać się można z jednej strony pod wodospad.

Dawniej Niagara stanowiła własność prywatną; w roku 1883-im rząd Stanów Zjednoczonych odkupił ją i uczynił własnością publiczną dla wszystkich zarówno dostępną, tak samo jak i „Park narodowy“.

Nie brak więc jak widzimy, Stanom Zjednoczonym bogactw olbrzymich, rzek wielkich, piękności rzadkich gdzieindziej. Dodawszy do tego urodzajność ziemi w całej części wschodniej i środkowej, oraz klimat łagodny — taki jak u nas — w połowie północnej, a gorący na południu: zrozumiemy, że w takim kraju ludzie dzielni, przedsiębiorczy, mogli w krótkim czasie dojść do wysokiego stopnia rozwoju.

### III. Ludność indyjska, biała i czarna Stanów Zjednoczonych.

Ilu czerwonoskórych Indjan zamieszkiwało dzisiejszy obszar Stanów Zjednoczonych przed 120-u laty, to jest w chwili założenia tego państwa — niewiadomo. To jednak pewna, że dziś na 80 milionów mieszkańców jest zaledwie 400 tysięcy pierwotnych synów tej ziemi. Gdy ludność biała rosła z szaloną szybkością, zagarniając dla siebie ziemię i jej bogactwa — ludność czerwonoskóra, po krwawych a bezskutecznych walkach, ustępowała coraz dalej na zachód, w lasy i góry, i tam, rozrzucana drobnymi gromadkami, dotąd pędzi życie nawpół dzikie. Niektóre tylko plemiona Indjan, dawniej już zajmujące się rolnictwem, poddały się wpływowi białych i nawet przyjęły chrześcijaństwo. Plemiona zaś łowców, żyjących po lasach i stepach, broniły się mężnie i wytrwale, nie chcąc znać bladoliczych przybyszów, którzy wydzierali im ziemię, trzebili lasy, tępili ich bawoły, a ich samych mordowali bronią ognistą i gorszą jeszcze od niej „ognistą wodą,” to jest wódką.

Półdziki Indjanin musiał uleść oświeconemu, przemysłowemu osadnikowi z Europy, — nie rozumiał bowiem, że,

im oświeceńszym, im bardziej przemysłowym jest napastnik, tym większą oświatę i przemysł własny trzeba mu przeciwstawić.

Z licznych plemion indyjskich, jakie dotąd ocalały przed ostateczną zagładą, najważniejszymi są: Delawarowie, Irokezi, Sjuksy, Mandanowie, Apaszowie, Pueble



INDJANIN.

i inne. Najwięcej jest ich w północno-zachodniej części Stanów, pomiędzy Górami Skalistymi a rzeką Mississipi, gdzie zostawiono im czasowo mało zaludnione stepowe obszary.

Wszyscy Indianie są do siebie wogóle podobni z budowy ciała. Skórę mają mniej lub więcej brunatno-czerwona, postawę kształtną i silną; czoło wąskie i niskie, oczy

małe, nieco ukośne, policzki wystające, nos orli, wyraz twarzy poważny i dzielny. Znać w nich wojowników i myśliwców, zahartowanych łowami i walką, w której tylko męstwo osobiste i przebiegłość zapewnić mogą zwycięstwo. Długie czarne włosy, rozczesane pośrodku głowy, lubią przystrajać w pióra ptasie. Niektórzy noszą kolczyki w uszach lub w nosie, naszyjniki z pereł i t. p. ozdoby. — Ubiór Indianina składa się ze spodni skórzanych i takich samych ciżem, oraz z płaszcza ze skóry bawolej. Wielu maluje twarz i całe ciało w dziwne rysunki i kreski: białe, żółte lub czarne. Każde plemię ma zazwyczaj własne znaki, po których się poznaje. Takie malowanie farbami lub wykłuwanie znaków na skórze znane jest wszystkim ludom dzikim i zowie się tatuowaniem. Za dawnych czasów jedyny oręż Indianina stanowiły: buława, łuk i strzały, dzida i toporek (tomahawek). Dziś posiada on wszędzie broń palną, którą wraz z prochem, kulami i wódką nabywa za swoje futra od białych osadników.

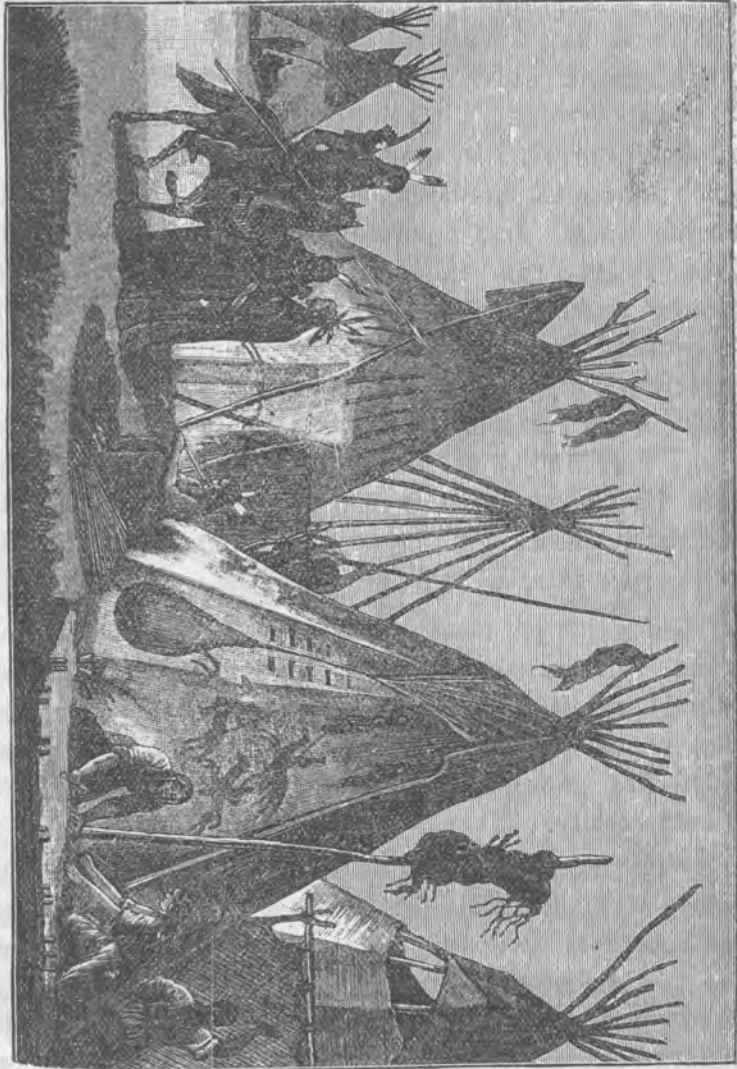
Nie mając już takich, jak dawniej, obszarów do polowania i nie mogąc przenosić się z miejsca na miejsce, Indianie stepowi dotąd jednak zachowali wiele zwyczajów dawnych koczowników. Żyją oni małymi gromadkami pod władzą naczelnika plemienia, tworząc mniej lub więcej ludne osady.

Wieś indyjska, rozłożona zwykle nad brzegiem rzeki, zdaleka wygląda jak obóz. Zamiast chat budują oni spiczaste namioty (wigwamy) ze skór bawolich, obciążonych na długich, związanych u góry, żerdziach. U góry jeden otwór zostawiony dla dymu z palącego się pośrodku namiotu ogniska; drugi otwór u dołu stanowi drzwi. Często namioty ozdobione są nazewnątrż rysunkami przedstawiającymi bitwy, węże, słońce lub gwiazdy. Wnętrze

wigwamu jest nadzwyczaj prosto urządzone. Pęki skór bawolich po rogach zastępują stolki i ławy, służąc jednocześnie za łoża i koldry. Na żerdziach widać porozwieszoną odzież, opartą zbroję i uprząż na konie, które Indianie hodują z wielką starannością, zarówno jak i psy.

Życie Indianina — o ile nie wojuje on z sąsiednim plemieniem lub z białymi — upływa na polowaniu, połowie ryb i rozrywkach. Dostarczanie żywności rodzinie jest głównym jego obowiązkiem. Poza tym nie zajmuje się niczym. Całymi godzinami mężczyźni przedstawiciele plemienia zbierają się na gawędkę, palą fajki, które namiętnie lubią, śpiewają, bawią się, — wreszcie, gdzie nauczyli się tego plugastwa od białych, — grają w karty. Wszystkie zajęcia gospodarskie spoczywają na głowie kobiet, które są prawdziwie umęczone. A dodać należy, że zwyczaj pozwala Indianinowi mieć jedną lub kilka żon.

Ciekawym jest wychowanie chłopców u Indian. Póki mały, chłopak zostaje pod opieką matki. Podrastając jednak, już kręci się pomiędzy starszemi, przysłuchuje się ich rozmowom, uczestniczy w niedalekich wyprawach łowieckich, przywykając zawczasu do trudów i niewygody. Główną uwagę zwraca się na wyrobienie w młodzieńcu indyjskim dzielnego charakteru. Musi on stawić mężnie czoło wszelkiemu niebezpieczeństwu. Nie wolno mu nigdy tracić zimnej krwi; w każdej chwili powinien być gotów poświęcić życie dla obrony swojego plemienia. Honor plemienia, do którego należy, powinien mu być droższym nad wszystko. Szczególniej wobec zwycięskiego wroga Indianin umie zachować się z męstwem i godnością, odpowiadając z pogardą na najstraszniejsze męczarnie. To też dochodząc do pełnoletności, młodzieniec nie pierwszej zostaje zaliczony do dorosłych, aż przejdzie ciężką próbę tor-



WIEŚ INDYJSKA.

TANIEC WOJENNY INDIAN.



tur, podczas której zadają mu rany, przypiekają ciało, poddają najboleśniejnym mękom, które musi znieść bez skargi.

Rozumie się, że, wobec ciągłych walk z białymi, tylko bardzo nieznaczna część Indian przyjęła religję chrześcijańską: większość są dotąd poganami. Wierzą w liczne bóstwa, szczególnie zaś czczą słońce i siły przyrody; ponad tym wszystkim mają jednak poczucie najwyższego bóstwa, które nazywają „Wielkim Duchem“. Wierzą też w nieśmiertelność duszy i wyobrażają sobie, że męzny wojownik indyjski po śmierci idzie do raju, gdzie na ogromnym stepie pasą się niezliczone stada bawołów, a życie upływa wśród nieustannych rozkoszy polowania.

Przy takiej religji, przy braku wszelkiej oświaty, Indianie są w najwyższym stopniu przesądni i zabobonni; wierzą w czarowników i czarownice, a zaklęcia i gusa znachorskie są u nich na porządku dziennym. Gdy Indianin zachoruje, wzywają do jego namiotu znachora. Ten, ubrany w skórę wilczą lub niedźwiedzią, obwieszony wężami, jaszczurkami i żółwiami, skacze nad chorym, odmawia tajemnicze zaklęcia, pluje dokoła — co choremu tyle akurat pomaga, jak i zaklęcia naszych domorosłych znachorów.

Jak wszystkie ludy pierwotne, Indianie korzystają z każdej sposobności, żeby się bawić; różnym świętom ich i obchodom towarzyszą tańce, śpiew i muzyka. Dla przykładu podajemy rysunek (na stronie 24) „Tańca wojennego bawołów“, stanowiącego ulubioną zabawę plemienia Mandanów. Mężczyźni, dziwacznie tatuowani, ubrani w skóry i czapki bawole z rogami, uzbrojeni w dzidy i tomahawki, skaczą dokoła ogniska wśród dzikiej wrzawy i okrzyków, którym wtóruje przeraźliwe bicie w bębny i kotły.

Niepodobna bez ciekawości patrzeć na życie i obyczaje tych czerwonoskórych dzieci stepu, dokoła których rozwija się i kwitnie życie pełne wysokiej oświaty: — ale też trudno oprzeć się myśli, że biedacy ci z czasem zni-



ZNACHOR INDYJSKI.

kną zupełnie nawet z tych resztek swoich dawnych siedzib.

Pomówmy teraz o tej ludności białej, która powstała z kolonistów europejskich i stanowi prawdziwą potęgę Stanów.

Ogółem liczą w Stanach Zjednoczonych przeszło 80 milionów mieszkańców; odciążwszy z tego pół miliona na

Indjan i 8 milionów na murzynów, mamy 70 milionów białych amerykańców.

Wśród nich pierwsze miejsce pod względem liczebności i znaczenia zajmują potomkowie osadników angielskich, zwani powszechnie „jankami“ lub „jankesami“. Stanowiąc zaledwie trzecie lub czwarte pokolenie wychodźców angielskich, jankesi we wszystkim przypominają Anglików. Ta sama postawa — chuda, wyprostowana, poważna; to samo przywiązanie do języka angielskiego i zwyczajów rodzinnych; ta sama duma narodowa, dzielność i praktyczność w życiu. Pomimo stuletniego oderwania się od Anglii, zawsze tam — do tej starej macierzy — ciągnie dusza jankesa: stamtąd czerpie on naukę — książki i pisma, tam zwraca swoje wspomnienia, tam zresztą posiada często rodzinę i przyjaciół.

Swoją drogą — żaden jankes nie nazwie się Anglikiem; uważa się on za prawdziwego Amerykanina — i takim też jest w istocie. Długoletni pobyt na nowej ziemi, wśród innej przyrody i odmiennych warunków pracy, nie mogły pozostać bez wpływu na pierwotnego osadnika. Trudność życia w pierwszych czasach osadnictwa, konieczność pracy usilnej, częsta walka z wrogim otoczeniem spotęgowały jeszcze u angielskiego Amerykanina wrodzone jego przymioty. W ruchach jego widać więcej żywości, w twarzy przebija się stanowczość, spokój i pewność siebie. Dodawszy do tego niewyczerpane zamiłowanie pracy i śmiałą przedsiębiorczość, zrozumiemy, jak tacy ludzie w ciągu stu lat mogli stworzyć potężne, bogate państwo i narzucić swój język i obyczaje innym osadnikom.

Bo trzeba wiedzieć, że w całych Stanach Zjednoczonych językiem powszechnym jest angielski, a właściwie angielski zmieniony nieco wskutek domieszki wyrazów indyjskich, niemieckich, francuskich i innych.

Jest pewnam różnica pomiędzy amerykańkami pochodzenia angielskiego ze Stanów północno-wschodnich, a południowo-wschodnich. Ci ostatni, zwani południowcami, osiedleni w okolicy cieplejszej, posiadającej plantacje bawełny, tytoniu i trzciny cukrowej, gdzie można było utrzymywać niewolników i żyć bez pracy, choć bogatsi od pierwszych, stoją niżej od nich. Co tylko zjawi się lepszego w Stanach, w nauce, sztuce, przemyśle — wszystko to wychodzi ze Stanów północnych. One pierwsze dały podwaliny nowemu państwu; od nich w późniejszych czasach wyszła myśl zniesienia niewolnictwa murzynów; oni wreszcie — ci jankesi dali główną masę kolonistów, którzy znad Atlantyku tysiącami wyruszyli na zachód, przebyli góry i rzeki, wytrzebili puszcze, zorali pługiem dziewiczą ziemię stepu i dali początek całemu dzisiejszemu przemysłowi Stanów.

Obok jankesów angielskich ważne miejsce w Stanach Zjednoczonych zajmują Irlandczycy i Szkoci. Irlandczyków samych jest blisko 10 milionów. Wypędzeni z ziemi rodzinnej przez głód i nędzę, zgnębieni, bez sił i woli do pracy, tutaj, na ziemi amerykańskiej, ciż sami Irlandczycy prędko nabierają dzielności, kształcą się, rozwijają, a nawet bogacą tak, że niewiele ustępują jankesom. Taki Irlandczyk, przybywszy do Ameryki nieraz bez grosza, początkowo pracuje ciężko, jako tragarz w porcie, wyrobnik lub robotnik w kopalni; ale, uciuławszy nieco dolarów, zakłada zaraz sklepik lub warsztat, rzuca się do przedsiębiorstwa i często dochodzi do tego, że jeszcze ziomkom w kraju pozostałym, a zawsze przez siebie kochanym, pomaga.

Trzecią częścią składową białej ludności Stanów są osadnicy pochodzenia niemieckiego, w liczbie do sześciu milionów.



JANKES.



METYS.



Ciekawym jest pierwszy napływ Niemców do Ameryki północnej. Było to w roku 1709-ym. W Niemczech zachodnich, wycieńczonych długą wojną, zapanował głód. Okoliczność ta wydała się królowej angielskiej Annie doskonałą dla ściągnięcia głodnych Niemców do bezludnych kolonii amerykańskich. Rozesłała więc naganiaczy, którzy wprędce zwerbowali 32 tysiące chłopów niemieckich pod Londyn, gdzie mieli oni czekać na przejazd do Ameryki. Tymczasem rząd angielski nie przygotował okrętów, i emigranci niemieccy musieli cały rok przebywać w najokropniejszej nędzy. Część ich rozeszła się po Anglii i Irlandji, napróżno żebząc zarobku od nieprzyjaznych mieszkańców; część wyginęła z głodu po drogach; ledwie 10 tysięcy ich przewieziono do Ameryki, jako „kontraktowych najemników“, a właściwie niewolników czasowych. Zjawili się zaraz pośrednicy, zwani „handlarzami dusz“, którzy ten towar ludzki rozwozili po miastach i sprzedawali na rynkach plantatorom na różne terminy, od lat 2 do 10-u. Trwało to lat blisko osiemdziesiąt.

Od tych biedaków wzięło początek osadnictwo niemieckie w Stanach.

Pierwsi osadnicy niemieccy, poniewierani prawie jak niewolnicy, prędko przyjmowali język i obyczaje angielskie, zmieniając często nawet swoje nazwiska. Inaczej jednak było z późniejszymi Niemcami, jacy zaczęli licznie napływać od połowy naszego stulecia. Ci, udając się za ocean zwartą gromadą, postanowili osiadać razem, tworząc rozległe kolonie; tak — trzymając się dużemi gromadami, pielęgnowali obyczaj i mowę ojczystą, zakładali własne szkoły i świątynie, — i powoli całym okręgom nadawali czysto niemieckie piętno. Dziś w wielu Stanach zachodnich i środkowych Niemcy są jak u siebie: wszędzie

MURZYN WYKSZTAŁCONY.



MULAT.



tam słyhać mowę niemiecką, w miastach są całe dzielnice zamieszkałe przez Niemców, czytelnie niemieckie, teatry i tym podobne urządzenia.

Mniej znaczenia od poprzednich mają osadnicy innych narodowości: Holendrzy, Norwegowie, Szwedzi, Francuzi, Włosi, a w ostatnich czasach Czesi, Polacy i Żydzi. O wszystkich tych emigrantach powiadają, że już w drugim pokoleniu zatracają właściwości narodowe i stają się Amerykanami.

Polaków jest w Stanach blisko dwa miliony. Niektórzy przebywają w Ameryce czasowo dla zarobku, wracając potem do kraju — inni przesiedlili się tam zupełnie z rodzinami. Dużo Polaków zamieszkuje w miastach Czykago i Milwoki. — Nie mało jest także w Stanach Zjednoczonych Żydów. Pochodzą oni z różnych krajów, ale najwięcej jest ich od nas, przeto często podają się tam za Polaków i Rosjan. Nam jednak nie bardzo miłe to przyznawanie się Żydów do naszej narodowości, gdyż wielu jest między nimi oszustów i złodziei, co pouciekali przed karą, wielu trudniących się nieczym handlem dziewczętami, co wszystko robi ich wstrętnymi i często niesłusznie na nas plamę rzuca. Co prawda, i między naszymi, nawet niby oświeconymi, sporo łotrzyków znajduje się w Ameryce.

Murzynów liczą w Stanach do ośmiu milionów. Są to potomkowie tych nieszczęśliwych niewolników, jakich przez lat dwieście przywożono do Ameryki na plantacje bawełny, trzciny cukrowej i tytoniu.

Pierwsi Hiszpanie zaczęli sprowadzać murzynów do robót na plantacjach; w roku 1620-ym okręt holenderski przywiózł niewolników do osad angielskich. Odtąd nikiemny handel czarnym towarem rozwinął się tu na wielką skalę. W ciągu stu lat, bądź wprost z Afryki, bądź z są-

siednich wysp Antylskich, przywieziono do Ameryki północnej przeszło 300 tysięcy niewolników murzynów! W czasie wojny o niepodległość było ich już pół miliona, przeważnie w Stanach południowo-wschodnich.

Straszne było życie tych nieszczęśliwych, wywiezionych gwałtem z ojczyzny, oderwanych od żon i dzieci, sprzedanych na rynku, jak bydło robocze. Praca ciężka pod grozą bata, surowa kara za najmniejszym oporem, więzienie i męczarnie w razie ucieczki od pana, — oto dola czarnego niewolnika. Krwawą plamą na sumieniu dawnych osadników amerykańskich leży ta niewola czarnych, to wiekowe znęcanie się człowieka nad człowiekiem.

Taki stan rzeczy nie mógł jednak trwać długo. Wśród osadników Stanów północnych zjawili się ludzie szlachetni, którzy rozpoczęli walkę przeciw niewolnictwu czarnych; do nich przyłączyli się ci, którzy z interesu osobistego z zawiścią patrzyli na rosnące z pracy murzynów majątki plantatorów południa. Doszło do wojny między Stanami północnymi i południowymi, w której południowcy, zwyciężeni, musieli się zgodzić na zupełne zniesienie niewolnictwa.

Odtąd murzyni stali się swobodnymi obywatelami państwa, równymi w prawach białym. W rzeczywistości jednak pozostali oni wszędzie na niższym, upośledzonym stanowisku, zajmując miejsca służących, parobków, tragarzy i robotników. A chociaż tu i ówdzie uda się czarnemu wykształcić i zająć miejsce lepsze, wogóle żyją oni w pogardzie u białych, którzy łączyć się z nimi nie chcą i, kto wie, czy nie najchętniej pozbyliby się tych czarnych współobywateli, gdyby to było możliwe!

Przez pewien czas do Stanów zachodnich napływało wielu Chińczyków; że jednak, pracując za najniższe wy-

nagrodzenie, obniżali oni płacę miejscowych robotników, doprowadziło to do rozruchów, skutkiem których zabroniono zupełnie chińczykom najeżdzać do Stanów Zjednoczonych.

Wogóle, prawdziwy amerykańczyk dzisiejszy z zawiścią patrzy na każdego, odbierającego mu chleb, i coraz bardziej utrudnia obcym przybyszom osiedlanie się w Stanach Zjednoczonych. I dziwić się temu nie można. Kraj jest już teraz jako tako zaludniony, ludność jego i bez napływu obcych emigrantów rośnie bardzo szybko; ludziom tam coraz ciasniej, o zarobki coraz trudniej: nie radzi więc dopuszczać do nich obcych. Szczególniej zupełni hołusze i próżniacy, którzyby chcieli lekkiego chleba, nie mają już po co jechać do Ameryki.

W rozdziałach następnych przyjrzymy się ważniejszym stronom życia milionów różnorodnych mieszkańców Stanów Zjednoczonych: rozpatrzemy ich przemysł, rolnictwo, handel, stan oświaty i urządzenia państwowe.

#### IV. Rolnictwo w Stanach Zjednoczonych.

Zatrzymamy się bliżej nad przemysłem rolnym Stanów Zjednoczonych, a to z dwóch powodów: raz dlatego, że rolnictwo amerykańskie jest zupełnie różne od naszego, a więc ciekawe; — a powtóre, że zboże tamtejsze współzawodniczy coraz więcej z naszym i obniża jego cenę.

Już sam sposób powstania gospodarstw amerykańskich jest różnym od naszego.

W pierwszych czasach osadnictwa, t. j. przed paruset laty, kiedy ludzi było jeszcze w Ameryce bardzo mało,

każdy brał tu sobie tyle ziemi, ile chciał, ile mógł uprawić i zatrzymać. Potym, kiedy Anglja zajęła kolonje, królowie angielscy nadawali wielkie obszary gruntów towarzystwom handlowym, urzędnikom lub ulubieńcom. Grunta te oddawano następnie w dzierżawę mniejszym kolonistom, którzy płacili z nich czynsz, a nawet odrabiali powinności w naturze, na podobieństwo naszych pańszczyźniaków.

Po wypędzeniu Anglików położenie się zmieniło. Wielkie majątki wprawdzie pozostały, ale koloniści, zdawna na cudzych gruntach osiedli, drogą wykupu stali się właścicielami folwarków, czyli niezależnymi fermerami. — Prócz tego rząd Stanów wydał prawo, że ziemi świeżo przyłączone lub nabyte od Indjan, a przez nikogo nie zajęte, stają się własnością rządu i ten może je sprzedawać. Dzielono te ziemi na wielkie kwadraty, te znow na mniejsze, po 160 akrów, czyli po 116 morgów każdy. Taki mały kwadrat nazywał się „uczastkiem rodzinnym“. Otóż każdy obywatel Stanów, mający 21 lat skończonych lub żonaty, mógł żądać wyznaczenia podobnego udziału, który po pięciu latach przechodził na jego własność, — albo mógł być odrazu nabyty za 1,000 franków (250 rubli). — Tą drogą również powstało bardzo wiele folwarków mniejszych.

Nietylko jednak koloniści niezamożni kupowali ziemię od rządu: zjawili się także bogacze i spółki spekulantów, które za marne pieniądze nabywały olbrzymie obszary gruntów. W taki sposób powstały tam tak wielkie dobra, o jakich my nawet pojęcia nie mamy. W Stanie Tehas są majątki, zajmujące po milionie hektarów, t. j. 1 milion i 800 tys. morgów. Pewien bankier w Stanie Kaliforni zaprowadził u siebie sztuczne nawodnienie na obszarze 1,200 wiorst kwadratowych. Pewien folwark wielki wy-

stawia naraz do żniwa 200 maszyn żniwiarek, a młockarnie jego zsypują codzień po 75 wagonów ziarna!

Wobec ogromnego napływu kolonistów, dziś położenie rzeczy zupełnie się zmieniło. Rząd wszędzie prawie ziemi swoje rozprzedał, cena gruntu wzrosła przeszło 30 razy. Spółki spekulantów, szczególnież towarzystwa kolei żelaznych, wykupiwszy, co się tylko dało, teraz od siebie grunta za wysoką cenę parcelują. Zwykle towarzystwo takie, nabywszy ziemię, przeprowadza przez nią kolej i potym ogłasza, że wzdłuż linji ma grunta do sprzedania. Liczni naganiacze sprowadzają kolonistów — i wkrótce wzdłuż kolei po obu stronach powstają nowe folwarki, czyli fermy.

Tak, czy inaczej, dziś w Stanach Zjednoczonych spotykamy dwa główne rodzaje gospodarstw: folwarki drobne, kilka czy kilkunastowłokowe, oraz majątki olbrzymie, obejmujące kilka i kilkanaście tysięcy włók. Nigdzie jednak niema tu osad maleńkich, kilkomorgowych, jakie spotykamy wszędzie w Europie. Jeszcze na to czas: jeszcze tam gospodarka niedawna, ludność nie tak gęsta; jeszcze jeden drugiemu nie potrzebuje na karku siedzieć, jak w naszej starej, już tysiące lat z okładem gospodarującej Europie. I w Ameryce jednak już zaznaczają coraz większe rozdrabnianie własności: folwarki nowopowstające są mniejsze, niż dawniej bywały; gdzieniegdzie zaczyna się nawet gospodarka drobna, podobna do europejskiej, — tam mianowicie, gdzie rolnik amerykański, znudzony gruntem, który mu zaczął gorzej rodzić, ustępuje go przybyszowi nowemu z Europy lub murzynowi.

W A więc pierwsza różnica gospodarstw amerykańskich od naszych polega na tym, że są tam gospodarstwa średnie i wielkie, a brak zupełnie drobnych. Wynika stąd, że nie-

ma tam wcale wsi, gromadnie zabudowanych. Mając kilka włók gruntu, każdy fermer buduje się pośrodku swej ziemi, zdala jeden od drugiego. Niema też tam żadnego pokawałkowania gruntu, żadnych szachownic i t. p. niedogodności. Każdy grunt jest cały w kupie, mając postać foremnego czworoboku.

Następnie, cała gospodarka amerykańska zupełnie inaczej, niż u nas, się prowadzi. U nas, czy kto ma 3 morgi, czy 300 włók, zawsze gospodaruje mniej więcej jednako. Podzieli pole na części: jedną obsieje oziminą, na innej ma zboże jare—owies, jęczmień; tu wsieje prosa trochę, tam posadzi ziemniaków; gdzieindziej ma tatarkę, koniczyne, groch, rzepak, kapustę i t. d. To samo dwórze ma pół 10 czy więcej, a na każdym inny rodzaj produktu, stosownie do płodozmianu. To też, jak spojrzysz z góry po naszych polach, to het — włościańskie, czy dworskie, — pocięte są tak, że zdala wyglądają jak kobierzec, utkany z prostokątów żółtych, zielonych, czerwonych, brunatnych i białych. W Ameryce nie dojrzysz

„...pól, malowanych zbożem rozmaitem,  
Wyzłaczanych pszenicą, wysrebrzanych żytem,  
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,  
Gdzie panieńskim rumieńcem dziewięcielina pała...“

Rolnik amerykański, szczególnież większy, na całym swym polu uprawia tylko jeden rodzaj produktu: albo sieje samą pszenicę, albo uprawia wyłącznie drzewa owocowe, albo hoduje opasy i t. p. Są tam tedy gospodarstwa wyłącznie pszenne, inne — kukurydziane lub bawełniane. Całe obszary Stanów na dawnym stepie wytwarzają tylko pszenicę; na południu od nich wypasają się ogromne stada bydła i świń; południowo-wschodnie części kraju dostarczają bawełny, trzciny cukrowej i tytoniu; północno-

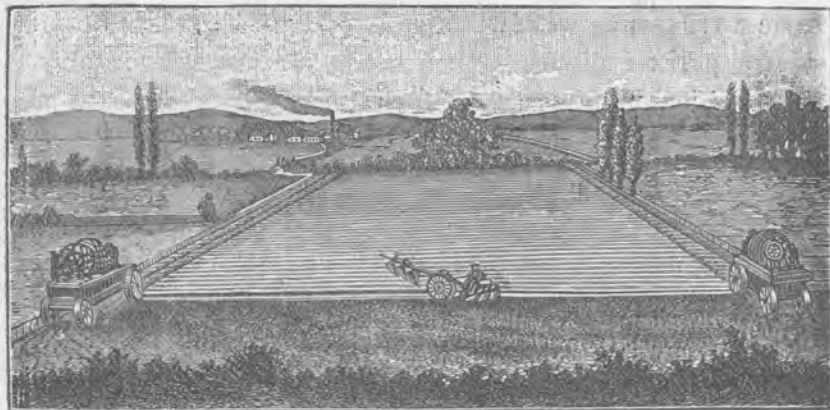
wschodnie — owoców; inne — siana. Słowem, istnieje tam w gospodarce całego kraju to, co nazywamy podziałem pracy na wielką skalę.

Oczywiście, jestto możliwe tylko wskutek niesłychanej urodzajności ziemi amerykańskiej, zajętej po dawnych puszczech leśnych lub stepie, ziemi, która dziesiątkami lat, rok po roku, może rodzić pszenicę bez żadnego nawozu.

Jest więc gospodarka fermera w Stanach Zjednoczonych jednolitą, wydającą tylko jeden produkt na sprzedaż, a więc pozwalającą skupić uwagę na najwyższą wydajność tego jednego produktu. Wiadomo zaś, że gdzie wytwarza się jeden produkt, ale w wielkiej ilości, tam można zawsze korzystać z ulepszeń i produkt ten wytwarzać taniej.

To też nigdzie może na świecie rolnik nie ma tylu ułatwień w pracy i zbycie swoich płodów, co w Stanach Zjednoczonych: szczególnie nigdzie nie posiada tylu i tak dobrych narzędzi i maszyn rolniczych. U nas, jak gospodarz ma parę pługów ladajakich, radełko do kartofli, ze dwie brony, kosę, sierp, cepy i sieczkarnię z ladą — to mu już dość; narzędzia te są niewiele warte, słabe, ale człowiek doda do nich pracę rąk własnych i swoje zrobi. Tego tylko nie liczy, ile to tej pracy ludzkiej wkłada się w każdą najprostszą robotę, którą maszyna wykonałaby przy daleko mniejszym wysiłku prędzej i lepiej. Ile to trzeba się namachać i napocić, żeby sierpem móg żyta użąć; ile trzeba się namachać, żeby cepami korezyk zboża omlócić! Jużci wiadomo, że maszyna zrobiłaby to prędzej i gładziej, ale na maszynę nie każdego stać. Wyrzutu nikomu tutaj nie robimy, bo „tak krawiec kraje, jak mu sukna staje“. Niejedno u nas dałoby się polepszyć, ale do góry nogami od razu niczego nie, wywrócimy, i dlatego wracajmy do owych amerykańków.

Pierwsze,—już pługi amerykańskie tym się różnią od naszych, że są zawsze paroskibowe i mają siedzenie dla powożącego. Oracz tamtejszy nie będzie deptał za płu-



PŁUG PAROWY AMERYKAŃSKI.

kiem, nie będzie go dźwigał, pokrzykując „wišta! hetta!“ On sobie siedzi wygodnie na wysokim stołku pługa, popędza wesoło konie, paląc cygare lub czytając gazetę. W fermach wielkich mają nawet pługi parowe: ustawiają je rzędem, a lokomobila sama przeciąga je po polu.—Sierpów, a nawet kos, nigdzie nie używają: do żniwa mają żniwiarki, albo żniwiarko-wiązałki. I u nas gdzieniegdzie po dworach takie maszyny są już w użyciu. Jedzie maszyna po polu, warcząc i stukając, grabiskami jak wiatrak macha,—a za nią kładzie się pokotem zboże, związane w gotowe snopki szpagatem, który maszyna przerzuca. Inaczej jest u nas. Nadchodzą żniwa, najważniejsza pora z całego roku, najpilniejsza, najbardziej niepokojąca robota. Tu trzeba się śpieszyć, bo niewiadomo, czy pogoda potrwa, a żniwo długie. Dojrzało żyto, potym pójdzie jęczmień,

owies, pszenica, tatarka: co najmniej z miesiąc się przeciągnie. Idź, spraszaj ludzi, bo swoich rąk nie starczy: ten się wymawia, ten ma w domu robotę, tamten nygus i nawet na zarobek wcale iść nie chce... A no, zebrałeś wreszcie z trudem żniwaków; dajże im teraz jeść, zapłać uczciwie, a patrz i pilnuj, — boć nie każdy jest tak rzetelny, żeby sumiennie pracował... Tyle termedji, tyle kosztu po to, żeby zżąć raptem 10 albo 20 morgów zboża!

A na tym nie koniec. Czekaj, bracie, aż ci zboże dośchnie na garściach, wiąż w snopy, ustawiaj mendle, a potem ładuj drabiny, bierz widły — i wio! do stodoły, czy do broga. A przytym znowu niepokój. To ci porośnie na polu, to zacieknie w stodole, to znów myszy potną w stercie. Czyste skaranie Boskie! A tu żyd nad karkiem stoi, boś mu już dawno może zboże sprzedał. Bierz tedy cepy, napluj w garść — i dalej, łupu-cupu! od rana do nocy...

Może to i miłe wszystko, boć człowiek na rodzinnym zagonie do najcięższej nawet pracy przywyka i miłości do niej nabiera, — ale też mozolne okropnie. Amerykański wieśniak, czy rolnik, radzi sobie inaczej.

Gdy rolnikowi amerykańskiemu zboże już dojrzało, puszcza on na swoje pole żniwiarko-wiązałkę, która mu to zboże w ciągu paru dni pięknie zeźnie i powiąże w snopy. Potym zaraz najmuje młocarnię parową, jeśli nie ma własnej. A trzeba wiedzieć, że w Ameryce są drobni przedsiębiorcy, zazwyczaj mechanicy lub ślusarze, którzy kupują sobie młocarnię parową i rozjeżdżają z nią po mniejszych gospodarstwach, wypożyczając ją na czas potrzebny. Taka młocarnia odrazu na polu wszystko zboże wymłóci i jedzie dalej.

Następnie, kto chce, składa ziarno czasowo do małych śpichlerzyków polnych; najczęściej jednak dowozi je

do kolei i sprzedaje... Komu? Boruchowi albo Szłomie? — Nie! tam zamiast takich handlarzy są pośrednicy inni.



ŻNIWIARKO-WIĄZAŁKA.

Przedewszystkim cała rolnicza część Stanów przecięta jest niezliczoną siecią linii kolejowych: często w jednej okolicy biegnie ich po trzy, cztery równoległe, połączone jeszcze poprzecznymi. Wszędzie więc łatwo dosta-

wić zboże do kolei, tymbardziej, że i fermy najczęściej wzdłuż kolei leżą. Przy stacjach zaś kolejowych i pomiędzy nimi ustawiono w ogromnej ilości szczególnego rodzaju śpichrze, zwane elewatorami. Gdzie spojrzeć, wzdłuż linii kolejowych widać czerwone wieże tych elewatorów.

Cóż to jest elewator?

Jest to budynek wysoki, urządony tak, że zboże wysypuje się do niego z jednej strony, a z drugiej, po zupełnym oczyszczeniu, spada do podjeżdżających wagonów i idzie w świat. Elewator składa się z części dolnej i górnej. Do dolnej wjeżdża wóz ze zbożem na platformę wielkiej wagi, (jak u nas np. w cukrowniach i gorzelniach) i zostaje wraz ze zbożem zważony. Potym platforma wagi się przechyla, odsuwa się tylna ściana wozu i ziarno sypie się do odpowiednich skrzyń. Wóz pusty zostaje znowu zważony; dozorca z kwitarjusza wydiera kartkę z poświadczeniem, że przyjął tyle a tyle pudów zboża, i właściciel jego z tą kartką może sobie wracać spokojnie do domu. Ziarno zaś jego przy pomocy windy wędruje na górne piętro elewatora, po drodze prąd powietrza oczyszcza je z kurzu, poczym spada ono rurami odrazu do podstawionego wagonu. — Właściciel ziarna może postąpić z nim dalej, jak mu się podoba. Może je sprzedać przedsiębiorcy elewatorów zaraz na miejscu i wziąć pieniądze; może kazać sprzedać swoją pszenicę zaraz lub później gdzieś w dalekim mieście lub porcie po cenach tamtejszych, o których dowiedział się z gazet; w takim razie zarząd elewatora dolicza do ceny miejscowej koszt przewozu i pieniądze wypłaca. Do czegoż więc tam potrzebny Szloma, czy jaki inny pośrednik?

Bądźmy jednak sprawiedliwi. I takie urządzenie miewa także swoją złą stronę. Nie trudno spostrzedz, że

rolnik jest tutaj w znacznym stopniu narażony na wyzysk ze strony spółek elewatorskich i kolejowych: nieraz zmagają się one między sobą i nakładają wysokie taryfy i opłaty na niekorzyść rolnika. Ale i na to drobni rolnicy amerykańscy znaleźli sposób: nie mogąc pojedynczo poradzić sobie z wyzyskiem, sąsiednie fermy łączą się w spółki, budują własne elewatory i na swoją rękę handel zbożem prowadzą.

Jesteśmy tedy już po żniwie amerykańskim. Pszenica sprzątnięta, trochę owsa czy też jęczmienia także, pieniądze za nie w kieszeni... Ale jest jeszcze słoma na polu; trzeba by pomyśleć o zwożeniu jej, o ściółce pod bydło, o nawozie, orce pod oziminy i tam dalej... Nic tego wszystkiego w gospodarstwie amerykańskim niema! Ziemia jest tak żyzna, że nawozów wcale nie potrzebuje, a w ostateczności kupuje się nawozy sztuczne. Oziminy nie sieją, bo pszenica jara udaje się jak najlepiej. Bydła się nie trzyma, a dla kilku mułów lub koni można kupić ziarna, albo paść własną pszenicą, czy kukurydzą; wielkie zaś gospodarstwa swoje muły i konie robocze często na całą zimę odsyłają na południe, do osobnych folwarków, biorących konie na zimowisko. Cóż więc robić ze słomą? Chyba spalić ją na polu?... Tak też robią. Zaraz po żniwach, po wymłóceniu ziarna, na fermach pszennych widać nocami liczne łuny pożarów; to palą się sterty słomy, z której popiół rozsiewa się, jako jedyny nawóz.

Cóż tedy rolnicy tamtejsi robią przez całą zimę, nie mając zboża do młócenia, siewki do rznięcia, dobytku do doglądania? Wielu wyjeżdża z rodzinami do miast; inni na miejscu urządzą sobie zebrania, odczyty, zabawy muzyczne, teatr, czytają, kształcą się, bawią, uczą dzieci swoje i zajmują się sprawami publicznymi. Rozumie się

mówimy nie o nędzarzach, których w Ameryce szukać trzeba między murzynami lub świeżemi wychodźcami z Europy, ani też o bogaczach,—lecz o rolnikach średnich, paro i kilkowłókowych, odpowiadających naszemu zamożnemu stanowi włościańskiemu.

W związku z takim prowadzeniem gospodarstwa jest i całe otoczenie tamtejszego fermera. Budynków ma niewiele, ale mocne, murowane. Dom mieszkalny obszerny, niekiedy ładny, z szerokim gankiem. Często dokoła domu niewielki ogród lub sad, stanowiący jedyną ozdobę równiej, jak stół, okolicy. Na podwórzu, zamiast naszego zórawia, najczęściej studnia z wysokim wiatraczkiem żelaznym, który obraca się przy najlżejszym wietrze i stale sam pompuje wodę do wielkiej, wysoko umieszczonej kadzi, a stąd rurami dochodzi ona do mieszkania, zasila ogród, sadzawkę, a niekiedy nawet sztuczny wodotrysk.

Tak mniej więcej żyje i gospodaruje w Stanach Zjednoczonych rolnik średni. Czy ten sposób gospodarowania długo przetrwa — trudno powiedzieć. Jednak ziemia nieużywna musi z czasem się wyczerpać, nawet już się wyczerpuje: — po kilku czy kilkunastu latach wyjałowiona przechodzi ona w ręce świeżych kolonistów, którzy muszą ją nawozić, muszą porzucić dotychczasową rabunkową gospodarkę. Wątpić wszakże można, żeby gospodarka Amerykańska stała się podobną do naszej; z pewnością wykształcony rolnik amerykański zacznie wyrabiać nawozy sztuczne, wprowadzi uprawę staranną, założy stowarzyszenia rolnicze — i w ten sposób odzyska siłę, jakiej pozbawi go wyczerpanie roli.

Przyjrzyjmy się jeszcze gospodarstwu wielkiemu, jakby się u nas powiedziało — dworskiemu, chociaż tam

ani dworu właściwego niema, ani gospodarka do naszej dworskiej tymbardziej podobną nie jest.

Dla przykładu weźmy gospodarkę fermy Larymorskiej w Stanie Dakota, według opowiadania jednego z naszych ziomków, który przed kilku laty ją zwiedzał.

Ferma ta założoną została przez spółkę bogatych spekulantów z miasta Sę-Lui, w r. 1881-ym. Zajmuje ona 15 tysięcy akrów (10,800 morgów) ziemi, z których 10 tysięcy akrów (7,200 m.) znajduje się pod pszenicą. W roku 1894-ym zbiór z tej fermy wyniósł: 175 tysięcy korecy pszenicy, 40 tys. owsa i 10 tysięcy jęczmienia. Inwentarz składa się z 200 mułów; koni ani bydła niema.

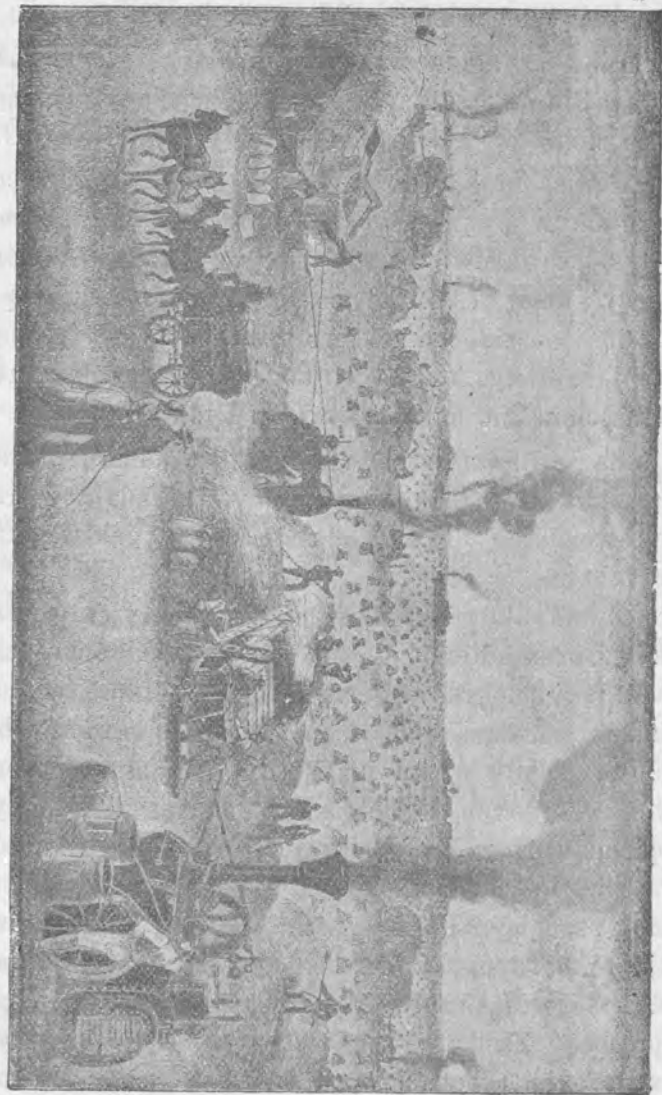
Zarząd fermy stanowią dyrektor, administrator, rachmistrz, kasjer i inni urzędnicy, układający rachunki i sprawozdania dla zarządu głównego, jak w jakiej wielkiej fabryce.

Z budynków są tylko mieszkania dyrektora i urzędników, oraz stajnie dla mułów; żadnych obór, chlewów, stodół ani spichrzów niema. Na podwórzu kręcą się trzy wiatraki żelazne, pompujące wodę do ogromnych kadzi. Koło budynków widać niezliczoną moc plugów paroskibowych z wysokim siedzeniem. Podczas żniwa występuje rzędem 40 żniwiarek-wiązałek, pracujących wzdłuż olbrzymiego pola i kładących pokotem równemi rzędami snopy pszenicy. Półtorej setki pieszych robotników obsługuje te maszyny, kilku mechaników konno uwija się po polu, dozoruując żniwiarek i śpiesząc w razie potrzeby z pomocą. Za maszynami idą wozy z beczkami wody dla orzeźwienia robotników, a także z wielkimi motkami szpagatu, którym maszyna sama wiązuje snopy.

Po zżęciu, na pole zjeżdżają gromady młocarni parowych, ustawiając się w równych odstępach, i zaczyna się



ZNIWO I MŁOCKA W AMERYCIE.



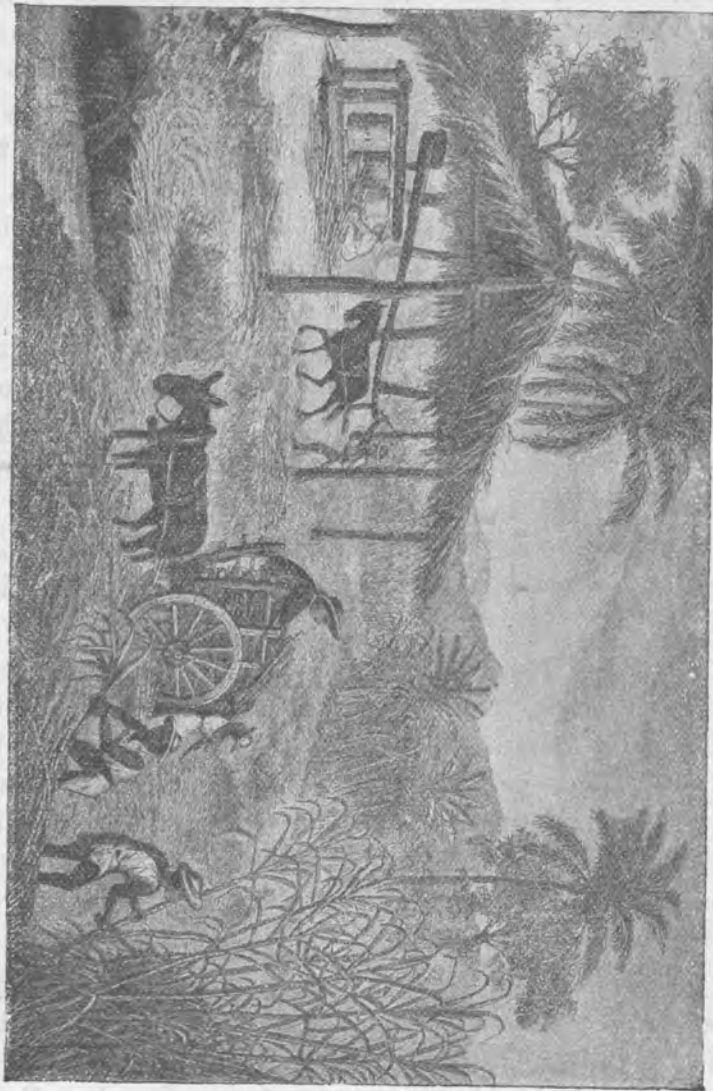
gorączkowa praca młócenia, która po kilku dniach dostarcza elewatorom setki tysięcy korey wymłóconego ziarna. Przyglądamy się nieraz z ciekawością, jak w dużym dworze młocarnia parowa młóci zboże na polu; zadziwiają nas kłęby pary, gwizd i turkot maszyny, rozchodzący się daleko. Wystawmy sobie kilkanaście lub więcej takich młocarni parowych, stojących, jak okiem zasięgnąć, na nieobjętym ścierniu pszenicy — a będziemy mieli obraz młocki na wielkiej fermie amerykańskiej.

Nie dziwny się teraz, że przy takich potężnych środkach, przy pracy maszyn, niezmiernej dotąd jeszcze urodzajności ziemi, — jara pszenica amerykańska, pomimo kosztów przewozu zza oceanu, jest często tańszą od naszej i — dostarczana w wielkiej ilości — obniża cenę naszego zboża.

Mówiliśmy dotąd o pszenicy, tej bowiem Stany Zjednoczone wydają najwięcej; ale uprawiają tam i inne zboża.

W Stanach środkowych, ciepłych, na dawnym stepie, sieją kukurydzę, roślinę podobną do naszego końskiego zębu, lecz z kłosami, składającymi się z ziarn dużych, jak groch, słodkawego smaku. Kukurydza uprawia się głównie na potrzeby miejscowe. Zmielona na mąkę lub kaszę, stanowią ważne pożywienie ludności; gotowane jej kłosy są tam wszędzie pospolitą potrawą; karmią też kukurydzą świnie, bydło i konie.

W ilościach znacznych Stany wydają owies i jęczmień, a na południu — sago i ryż. Jeszcze dalej na południu znajdują się wielkie plantacje trzciny cukrowej, której sok, wyciśnięty i oczyszczony, dostarcza cukru. Trzcina ta jest tak gruba, jak ręka ludzka, a dorasta takiej wysokości, że człowiek na koniu nie może dosięgnąć jej

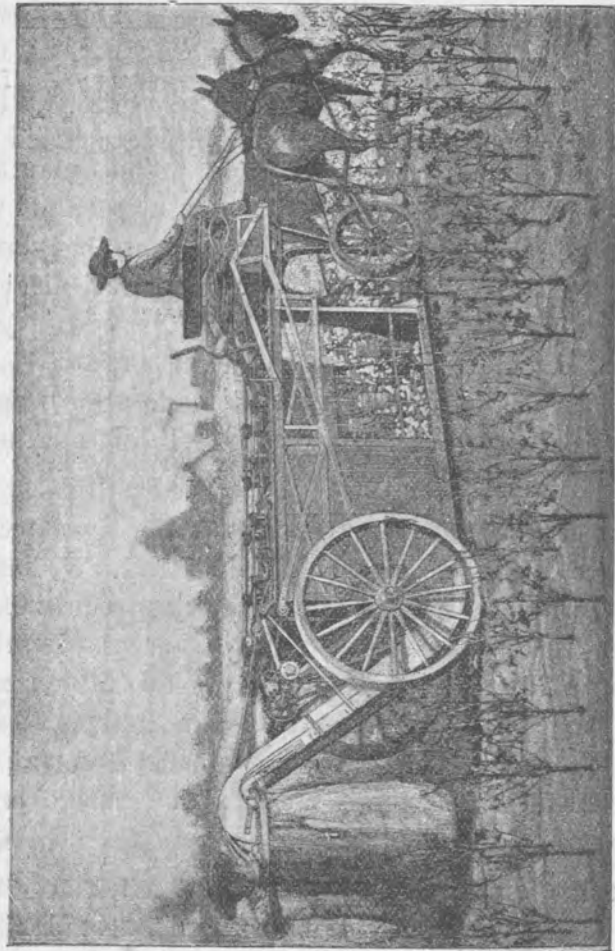


soczyste łodygi trzciny i odwożą do pras walcowych, wyciskających sok cukrowy. Dotąd jednak cukrownictwo Stanów Zjednoczonych nie wystarcza potrzebie miejscowej; znaczną część cukru, niezbędnego w kraju, muszą tam sprowadzać zza granicy, a między innymi z Kuby. Póki Kuba była w rękach hiszpańskich, amerykańskie musieli za ten cukier dobrze płacić; teraz będzie im dostawał się tańiej.

Również na południu znajdują się ogromne plantacje bawełny, rośliny krzaczastej, której nasiona obrosłe są gęstym białym puchem. Gdy torebki owocowe pękają i ukażą się z nich te puszyste nasiona, krzak bawełny wygląda, jakby pęczkami białej wełny był obsypany. Stany Zjednoczone dostarczają najwięcej bawełny na świecie; prawie cała ilość bawełny surowej, przerabianej w fabrykach europejskich i amerykańskich, ztamtąd pochodzi. Zbiór bawełny jest prosty, bo trzeba tylko zrywać torebki z nasionami, ale praca przy uprawie i zbiorze jest bardzo ciężką, głównie z powodu gorąca, — a tylko w klimacie gorącym bawełna rośnie. To samo jest z trzciną cukrową. Dlatego to do uprawy tych roślin hiszpanie sprowadzali niegdyś nieszczęśliwych murzynów niewolników z Afryki.

Prócz uprawy roli w Stanach Zjednoczonych wysokiego stopnia rozwoju dosięgło także sadownictwo. Są tam okolice, gdzie dziesiątkami mil ciągną się jeden za drugim wspaniałe sady najrozmaitszych drzew owocowych, czyniąc wrażenie wielkiego lasu. Są fermi wyłącznie owocowe, tak samo, jak widzieliśmy fermi wyłącznie pszenne. W Stanie Missouri 30 tysięcy ferm zajmują się tylko hodowlą owoców. Jedna z nich posiada 150 tysięcy samych drzew brzoskwińowych, inna hoduje jabłka lub gruszki,

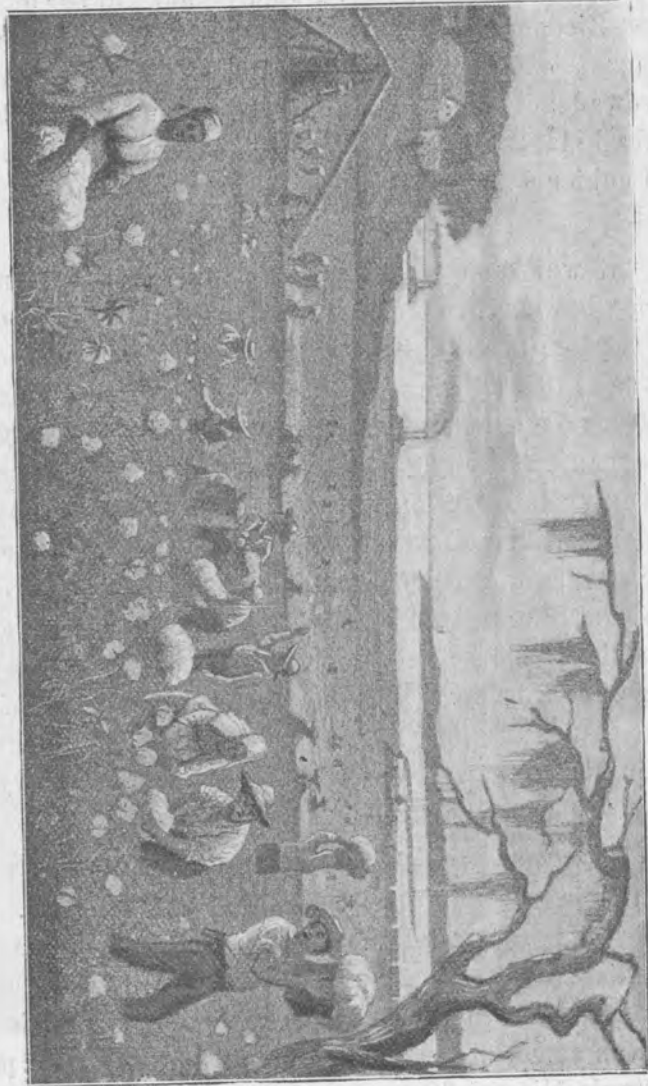
wisnie lub pomarańcze. Pewien folwark dwudziestowłokowy dał w jednym roku 3 miliony funtów samych śliwek.



ŻNIWIARKA DO ZBIERANIA BAWELNY.

Gdzieindziej widać plantacje porzeczek i agrestu, malin, a nawet zwyczajnych czarnych jagód. Oceniają przeszło na 300 milionów rubli wartość rocznego zbioru owoców

RĘCZNY ZBIÓR BAWELNY.



w Stanach Zjednoczonych, licząc jeszcze drugie tyle za wino, którego uprawą zajmuje się tam 200 tysięcy ludzi.

Ale też proszę zobaczyć tamtejszą umiejętność w hodowaniu drzew i ich doborze, w zbieraniu, przechowywaniu, suszeniu i przewozie owocu! Człowiek widzi tam w drzewie owocowym takiego karmiciela, jak my w życie i kartoflach, to też zajmuje się nim rozumnie. Zresztą nie pogardza on żadnym owocem: zakłada próbne plantacje malin, jeżyn leśnych, borówek i leszczyny, ulepsza je i wywozi na targ, zbierając za nie miliony. Nasi badylarze, nie umiejący nieraz marnego szczepu wyhodować, niedbali, zostawiający sad na opiece Boskiej, a potem oddający go na zniszczenie żydowi, „skołowacieliby na czysto“ — jak mówi jeden z moich znajomych, widząc, ile to pracy i umiejętności wymaga prowadzenie sadu, jeśli chce się mieć z niego dochód.

Wysoki rozwój sadownictwa w Stanach zawdzięczać należy także rozumnej opiece społeczeństwa. W każdej np. okolicy znajdują się tam towarzystwa ogrodnicze, do których należą nie tylko dorośli, ale nawet uczniowie szkół. Za wpisowym 20 groszy na rok, towarzystwo takie rozdaje malcom w jednym roku krzaki malin lub porzeczek, w innym — szczepy owocowe; działwa sadi je sama przy domach rodziców i pielęgnuje, ucząc się od małego pracy i staranności około drzew.

I nie tylko drzewa owocowe są tam w takim poszanowaniu: to samo stosuje się do drzew dzikich: grabów, dębów, świerków, wiązów. Jest tam piękny zwyczaj, zwany „Świętem drzew“, gdy uczniowie wszystkich szkół, w towarzystwie ojców i matek, ze śpiewami i muzyką ciągną uroczyście na pola i tam przy dźwiękach sadzą drzewka na pustkowiach.

W takim kraju, gdzie człowiek od dziecka przywyka do pracy dla dobra powszechnego, może kwitnąć dobrobyt i pomyślność; ale trudno o nie tam, gdzie lada bachor, od ziemi nie odrósłszy, już po cudzych sadach owoce kradnie, a drzewka łamie i niszczy.

Niepodobna zatrzymywać się tutaj szczegółowo nad wszystkimi gałęziami przemysłu rolnego w Stanach Zjednoczonych. Wspomnimy tylko jeszcze, że poważne miejsce zajmuje tam uprawa kartofli i patatów; ostatnie są bulwami korzeniowemi pewnego gatunku powoju i smak mają słodkawy („słodkie kartofle“). — Na południowym wschodzie znajdują się wielkie plantacje tytoniu. Wreszcie najważniejszym może, bo najwięcej dochodu dającym, wytworem jest siano. Otrzymują je z wielkich ferm łąkowych, zalegających nizinne nadrzeczne okolice Stanów. Na takich fermach gospodarka jest jeszcze prostsza, niż na zbożowych. Na przestrzeni wielu mil kwadratowych, jakie zajmują te folwarki łączne, przez cały rok nie widać żywej duszy. Dopiero w czerwcu zjeżdżają kolejami gromady najemników z miast, ustawiają kosiarki, grabiarki, windy do ładowania siana, prasy do ściskania go w twarde cegielki, — i po paru tygodniach gorączkowej pracy znów cisza zapanowuje na łąkach, a siano prasowane wędruje kolejami w świat daleki.

Przechodząc teraz do hodowli zwierząt, opowiemy krótko o tym, jak amerykanie hodują bydło i trzodę chlewną.

W Stanach nad oceanem Atlantyckim i nad rzeką Missisipi, gdzie znajdują się liczne przyrodzone pastwiska, fermerzy utrzymują 15 milionów krów mlecznych najlepszych ras, dostarczających olbrzymiej ilości mleka, masła i sera. Ku zachodowi, w okręgach nierolniczych, hodują

niezliczone stada bydła stepowego na mięso. Jestto mianowicie w tych okolicach, gdzie niegdyś żyły stada dzikich bawołów, gdzie jednak nikomu nie przychodziło na myśl, że i bydło domowe może tam swobodnie zimować i rozmnażać się. Wypadkiem w r. 1865-ym gromada wołów zmuszoną była zimować tam na otwartym powietrzu, i okazało się, że zimę przetrwała wybornie... Było to odkrycie daleko ważniejsze, niż znalezienie złota w Kalifornji. Bogaci przedsiębiorcy natychmiast zakupili lub wydzierżawili ogromne przestrzenie pastwisk i sprowadzili tam stada bydła, które żyje, pasie się i rozradza na swobodzie w stanie pół dzikim, dozorowane jedynie przez konnych pastuchów. Zajęcie to liche, pogardzane, to też biorą się do niego przeważnie próżniacy, którzy upędzają się za zdziczałemi wołami po stepie. Taki pastuch musi jednak być człowiekiem silnym, odważnym; musi dopędzać rozjuszonego wołu, zarzucić mu zręcznie stryczek na szyję i zapędzić do kolei, wiozącej bydło na rzeź.

Niektóre miasta, np. Czykago, słyną z wielkich rzeźni, gdzie tysiące sztuk bydła dziennie idzie pod nóż — i w postaci mięsa, skór i kości rozchodzi się po świecie. A wszystko to odbywa się w rozmiarach takich, o jakich my nawet pojęcia nie mamy. Hodowcy milionerzy dostarczają bydła, hurtownicy milionerzy zakupują je całemi stadami i dostarczają olbrzymim rzeźniom. W Czykago, jest osobna dzielnica, zwana „miastem rzeźnickim“, gdzie 150 tysięcy ludzi zajmuje się rzeźnictwem. Tam konne pastuchy z dzikimi wrzaski pędzą gromady bydła do wielkich bud. Każda z nich stanowi wagę. Do budynku wpędzają nie pojedyncze sztuki, lecz całą gromadę wołów, i ważą wszystkie razem, poczym idzie kolej na następną gromadę. Dalej, pędzą taką gromadę szeregiem do klatki, gdzie by-



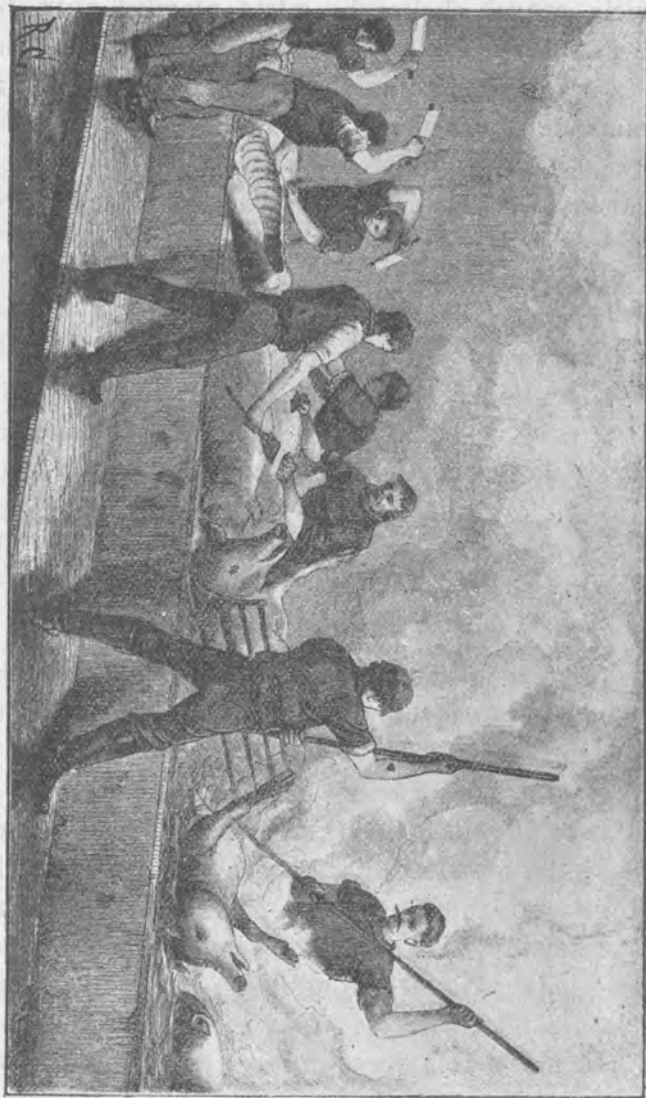
PASTERZE WOŁÓW (KOWBOJE).

długim zręcznym uderzeniem obucha zostaje w jednej chwili powalone. Resztę spełniają już maszyny. One porywają zabita sztukę i przenoszą do dalszego oddziału, gdzie zdejmują z niej skórę, obcinają rogi i kopyta. Potem windy i pomosty ruchome przenoszą zwierzę do oddziału, gdzie je patroszą, ćwiartują i t. d.

To samo jest ze świńmi. Wieprz zabity przechodzi przez kilkudziesięciu robotników, — a każdy z nich jedną tylko czynność spełnia, lecz z taką wprawą, że ta prawdziwa fabryka rzeźnicza tysiące wieprzów dziennie zdolna jest oprawić i wysłać. Na dwa i pół tysiąca milionów rubli oceniają wartość bydła i świń, dostarczanych rocznie przez Stany Zjednoczone. O koniach, owcach, mułach i osłach, których też hodują niemało, wspominać wobec tego nie warto.

Jednakże przedsiębiorczy amerykańcin nie poprzestaje na hodowli zwierząt domowych. Mając obfitość rzek i rozległe brzegi oceanów, postarał się on o wyzyskanie i tych zwierząt, jakich dostarczają wody, szczególnie zaś ryb i ostryg.

I tutaj widać tę rozumną pracę, jaką podziwialiśmy wyżej. Ponieważ rabunkowe rybołówstwo zmniejszyło znacznie ilość ryb w wodach, postarano się o sztuczne zwiększenie ich ilości. Uczeni przyrodnicy badają gatunki ryb, starają się poznać ich obyczaje i warunki rozmnażania. Na podstawie tych badań prowadzi się sztuczna hodowla ryb, urządzają wielkie zakłady rybne, zarybiają się nowymi gatunkami rzeki i jeziora, — i przemysł rybacki wchodzi na coraz rozumniejsze i zyskowniejsze tory. Dość powiedzieć, że z niektórych ryb złowionych kupują ikrę na targach, zapładniają ją sztucznie i rzucają napowrót do wody. Gdy się to słyszy, to prawdziwie zazdrość bierze.



RZEŹNIE WIEPRZÓW W CZYKAGO.

Toż u nas, mieszkając na wsi, w okolicy rybnej, marnego karpia ani szczupaka za dobre pieniądze nie kupisz, bo tyle ich jest w naszych wodach, że ledwie żydom na szabas starczą! Niedołęztwo na każdym kroku, a za nim słuszna kara: bieda powszechna. Prawdziwie, jak sobie ścielemy, tak śpimy.

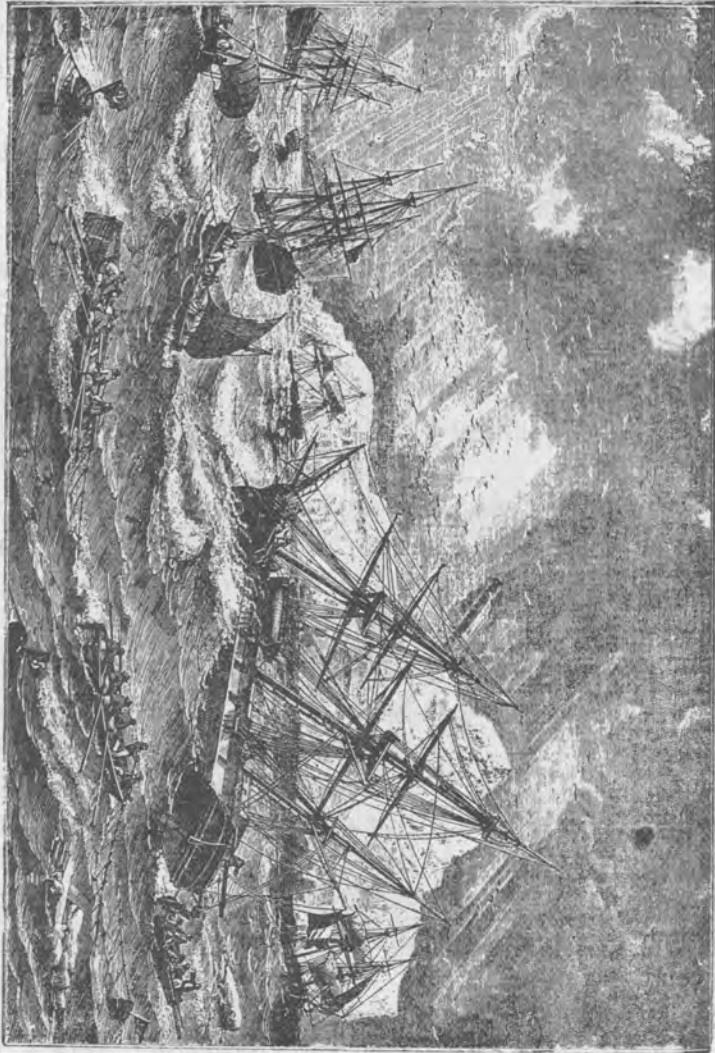
Jeszcze jeden dowód rozumnego wyzyskiwania bogactw przyrodzonych daje w Stanach połów ostryg. Są to mięczaki morskie bardzo smaczne, które ludzie bogaci żywcem zjadają, płacąc za nie dobre pieniądze. Mięczaki te okryte są podwójną skorupą, której dolną połówką przyrastają do skał podwodnych, murów portowych, bali i t. p. Amerykanie na brzegach oceanu Atlantyckiego wyławiają ich za kilkanaście milionów rubli. Gdy jednak spostrzegli, że ilość ostryg znacznie się zmniejszyła w pewnych okolicach, postarali się o młode zarodki, pozakładali na brzegach sztuczne ostrygarnie, gdzie te morskie przysmaki hodują w dowolnej ilości.

## V. Przemysł górniczy Stanów Zjednoczonych.

Nietylko powierzchnia ziemi, ale i jej wnętrze, dostarczają Stanom Zjednoczonym takich bogactw, które czynią ten kraj jednym z najpierwszych w świecie. Złoto i srebro, miedź, żelazo, ołów, węgiel kamienny i nafta — oto główne skarby mineralne Stanów. Tysiące lat leżały one bez użytku w łonie ziemi, dopóki szczęśliwy traf, a potem przemysł ludzki, nie wydobyl ich na powierzchnię.

Lat temu około 50-ciu w błocie, nagromadzonym w kanale pewnego tartaku nad rzeką Sacramento znale-

POŁÓW RYB PRZY BRZEGACH STANÓW ZJEDNOCZONYCH.



ziono połyskujące żółte blaszki. Było to złoto... Osadzało się ono wraz z piaskiem z wód sąsiedniej rzeczki. Zaczęto szukać — i znaleziono w pokładach żwiru i piasku rzeczno-ga całe masy złotych ziarenek.

Na wieść o tym tysiące ludzi z motykami i łopatami wyruszyło do zlotodajnej krainy — i zaczęło się poszukiwanie drogocennego kruszcu. Szukano go początkowo na brzegach rzek i rzeczek, przepłukując skrzątnie piasek rzeczny w sitach i korytach drewnianych. Ile pracy ludzkiej pochłonęły te poszukiwania, ile namiętności złych one obudziły, ilu nieszczęść były przyczyną, — o tym mogłyby powiedzieć chyba piaski i skały Kaliforni, zbrukane drapieżnymi rękami ludzi, obryzgane krwią i mózgiem niejednej ofiary chciwości lub zbrodni bratobójczej! Zbogaćcał się jeden, lecz setki ginęły marnie.

Pierwotne wszakże sposoby wyplukiwania złota nie nadługo mogły wystarczyć. Wyczerpawszy piaski, zaczęto rurami, idącymi od górskich potoków, sprowadzać wodę i rozkruszać nią skały i żwiry, zawierające złoto. Potym rozsadzano je prochem i dynamitem, założono olbrzymie kopalnie z chodnikami podziemnymi, ze sztucznymi wodospadami, kanałami, pompami i wszystkim, za pomocą czego sztuka górnicza ułatwia wylamywanie kruszcu.

Dziś przemysł złoty w Stanach daje rocznie złota blisko za 100 milionów rubli, to jest trzecią część całej ilości tego metalu, otrzymywanej rocznie na ziemi.

Nie mniejsze znaczenie od złota posiada srebro amerykańskie. Szczególniej w ciągu ostatnich paru dziesiątków lat odkryto w górach Sierra Nevada w Kaliforni niesłychanie obfite żyły srebra; w jednym tylko roku 1890 wydobyto tego metalu przeszło 5 milionów funtów! Wpłynęło to zarazem na znaczne obniżenie ceny srebra na całym świecie. Przez pewien czas rząd Stanów Zjednoczo-

nych, a za nim rządy innych państw, sztucznie podtrzymywały wysoką cenę srebra, ale wkońcu musiała ona upaść.

Wogóle Stany Zjednoczone w ostatnich czasach dostarczały połowę całej ilości srebra, wydobywanego na ziemi.

Pomijając ołów, rtęć (żywe srebro), miedź, a nawet żelazo, którego Stany posiadają nadzwyczaj obfite kopalnie w części północno-wschodniej, zatrzymamy się jeszcze nad węglem kamiennym i naftą.

Węgiel kamienny znajduje się we wschodnich Stanach, po obu stronach gór Allegańskich, zajmując 500 ty-



PRACA GÓRNIKÓW W KOPALNI WĘGLA.



sięcy wiorst kwadratowych. Jestto obszar, równający się całej Francji, a prawie 4 razy większy od Królestwa Polskiego. Ilość węgla, wydobywana rocznie wynosi 3 do 4-ch miliardów, (to jest tysięcy milionów) pudów. Mają więc Stany czym opalać fabryki i koleje, mają czym żywić swój potężny przemysł.

Nietyle jednak węgiel kamienny, co olej skalny, czyli nafta wyrobiła niegdyś wielką sławę Stanom.

Nie tak to dawne czasy, bo lat najwyżej 50, jak nafta zaczęła się wogóle rozpowszechniać; przed laty 40 jeszcze sprowadzano ją do nas z Ameryki i garniec jej po 10 złotych płacono. Potym dopiero naftę amerykańską wyrugowała u nas kaukazka, a w Austrii i Niemczech — galicyjska.

Istnieje spór co do tego, kto pierwszy wpadł na myśl użycia nafty do oświetlania: galicjanie, czy amerykanie? To jednak pewna, że przemysł naftowy i jego potężne dziś środki obmyślił ci ostatni i od nich dopiero przeszedł on znowu do Europy. Do dziś amerykańscy przemysłowcy naftowi kręcą się po Galicji i mają tam swoje kopalnie.

W Stanach Zjednoczonych naftę znano już oddawna. Jeszcze w r. 1627-ym pewien misjonarz francuzki opowiadał o „źródle smoły górskiej“, które widział na południu jeziora Ontarjo. — W dzisiejszym Stanie Pensylwanji płynie rzeczka, zwana „Olejną“, wypływająca ze źródła naftowego; otóż, jeszcze indjanie Irokezi znali to źródło i „olej ziemny“ z niego uważali za wielkie lekarstwo, które stąd rozchodziło się w dalekie okolice. Ciż sami Irokezi, zamieszkali wpobliżu pewnej forteczki, w czasie świąt narodowych zapalali uroczyście źródło naftowe na dnie sąsiedniego wąwozu. Dopiero jednak w r. 1859-ym w górnej części „Rzeczki olejnej“ zaczęto po raz pierwszy

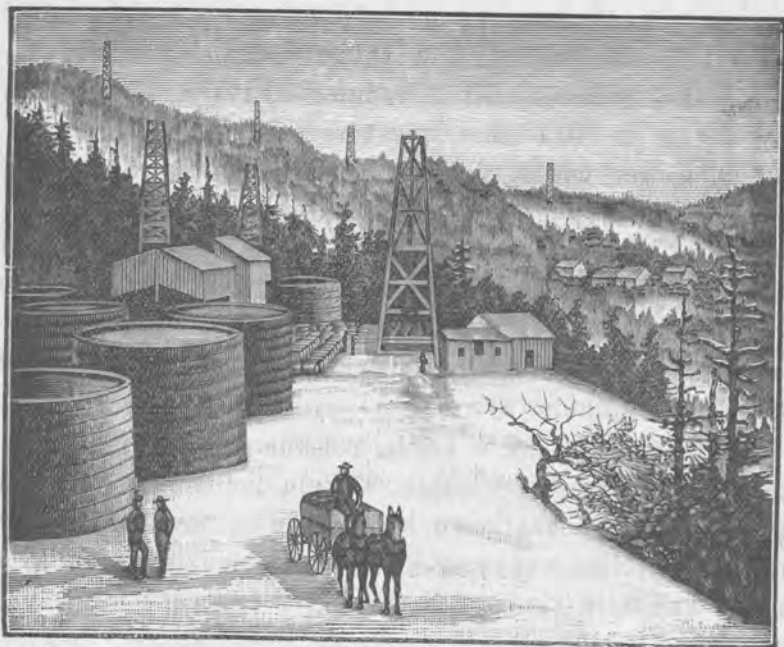
kopać studnie naftowe. Ropa naftowa ukazała się na głębokości 26 łokci, wypływając z szybkością 1,200 garnicy dziennie. Był to skromny początek tej gałęzi przemysłu, która niezadługo miała stać się jedną z najbogatszych w Stanach. Z gorączkowym pośpiechem przemysłowcy wzięli się do wydobywania natty. Miljonowe kapitały wtargnęły nad „Rzeczkę olejną“; zaczęto wiercić studnie początkowo dziesiątkami, a potem setkami i tysiącami. Dziś jest w Stanach takich studzien 60 tysięcy, głębokich przeciętnie do 400 łokci, niektóre jednak mają pół wiorsty, a nawet więcej głębokości. Łatwo wyobrazić sobie, ile kosztuje wywiercenie w skale takiej studni, jakich tu świdrów, jakiej maszynerji potrzeba! Ale też, po dojściu do żyły naftowej, niektóre z tych studzien wyrzucały do dwóch garnicy ropy na sekundę—i w krótkim czasie zwracały wszystkie koszta, napędzając miliony do kieszeni szczęśliwych nafciarzy.

Rozumie się, jak w każdej robocie na chybi-trafi, i tutaj nie każdemu się wiedzie. Wielu kopie na próżno; innym studnie, początkowo bardzo obfite, prędko się wyczerpują. Nikt napewno nie może powiedzieć, jaka żyła nafty znajduje się gdzieś o ćwierć, czy pół wiorsty pod ziemią.

Niestety, to wielkie bogactwo Stanów zdaje się wyczerpywać. Studnie dają nafty coraz mniej, ilość jej corok się zmniejsza. Czy jednak znowu w jakiej innej okolicy nafty nie odkryją, niewiadomo.

Jakby niedość było Amerykanom węgla kamiennego i natty, jeszcze ziemia ich w niektórych okolicach wyrzuca ze szpar szczególne gazy, które można zapalić i używać ich bądź do oświetlania, bądź w przemyśle. W tej samej Pensylwanji, gdzie są źródła nafty, oddawna zauwa-

zono wydobywanie się z wód źródłanych] i [rzecznych baniek gazu, pękających na powietrzu i zapalających się za zbliżeniem ognia. Pewien fermer skorzystał nawet z tego gazu dla odparowywania soku cukrowego, a jedna wioska w Stanie Niu-Jork użyła go nawet do oświetlania ulicy.



KOPALNIA NAFTY.

W r. 1874-m już pewna fabryka w górach Allegańskich wytapiała rudę przy pomocy tego gazu podziemnego. W parę lat potem, przy wierceniu studni naftowej, z głębokości 500 łokci nagle wydostał się strumień gazu, który wysadził w powietrze całą maszynę świdrową, zapalił się i 5 lat palił się nieustannie, jak olbrzymia pochodnia. Dopiero później udało się go zagasić i doprowadzić rurami

do pobliskich hut żelaznych i szklanych, gdzie gaz ten zastąpił w zupełności węgiel kamienny. W jednym tylko mieście Pittsburgu w r. 1886-m 470 fabryk i 5 tysięcy domów opalano i oświetcano tym gazem podziemnym, który siecią rur, mającą 800 wiorst długości, rozchodził się po mieście.

## VI. Przemysł fabryczny, handel i koleje żelazne w Stanach Zjednoczonych.

Jeszcze w połowie 19-tego stulecia Stany Zjednoczone wywoziły zagranicę surowe materiały, a stamtąd sprowadzały wyroby fabryczne; teraz stoją tak, że w każdej gałęzi przemysłu zajmują jedno z najpierwszych miejsc, a w wielu prześcignęły nawet Anglię.

Tłomaczy się to przedewszystkiem przyrodzonym bogactwem kraju, posiadającego na miejscu węgiel kamienny, żelazo, bawełnę i wszelkie materiały surowe; tłomaczy się dalej obfitością kapitałów gotowych — bądź miejscowych, bądź angielskich, które napływały gromadnie dla zajęcia się przemysłem; następnie — wielką ilością kolei i kanałów; a wreszcie — co najważniejsza — przedsiębiorczością mieszkańców. Amerykanin nie czeka, aż przyjdzie obcy i zajmie się przemysłem, lecz bierze się do niego sam, walczy i zwycięża.

Szczególniej rozwinął się w Stanach przemysł żelazny i stalowy. W Ameryce więcej, niż gdzieindziej, żelazo zastępuje sobą drzewo — przy budowie kolei żelaznych, okrętów, domów i t. p. Podkłady na kolei, belkowania domów, przeważnie robią się z żelaza; maszyny rolnicze, których Stany dostarczają całemu światu — żniwiarki,

młocarnie, grabiarki i t. d. — wszystko to wymaga wysokiego rozwoju przemysłu żelaznego.

To samo trzeba by powtarzać o przemyśle przędzalnianym, tkackim, o fabrykach szkła, skór, mebli, powozów i innych. Przed stu laty bawełna amerykańska szła do Anglii i wracała stamtąd w postaci tkanin; w roku 1790 założono w Stanach pierwszą przędzalnię bawełny — a dziś w swoich tysiącach fabryk posiadają one 16-ście milionów wrzecion i wyrabiają przędzy bawełnianej trzy razy więcej, niż Francja i Niemcy razem.

Oczywiście, że w fabrykach, zarówno jak w rolnictwie, Amerykanie wprowadzają wszelkie możliwe ulepszenia, starając się pracę ludzką zastąpić maszyną; całe gromady uczonych i wynalazców pracują tam nad udoskonaleniem fabrykacji. Wszystko to wpływa wysoce na tanieść wyrobów fabrycznych Ameryki, — tymbardziej, że fabryki zakładają tam przeważnie w tych okręgach, gdzie na miejscu znajduje się materiał surowy: żelazne — w okolicach obfitujących w rudę żelazną i węgiel, bawełniane — wśród plantacji bawełny i t. d. Przytym Stany Zjednoczone prawie nie posiadają fabryk małych, a wiadomo, że fabryka wielka wyrabia towar taniej. Wszędzie przy rozwoju przemysłu ilość fabryk się zmniejsza, ale za to stają się one wielkimi: fabryki rozrastają się, pochłaniając drobne, które nie mogą wytrzymać z nimi współzawodnictwa.

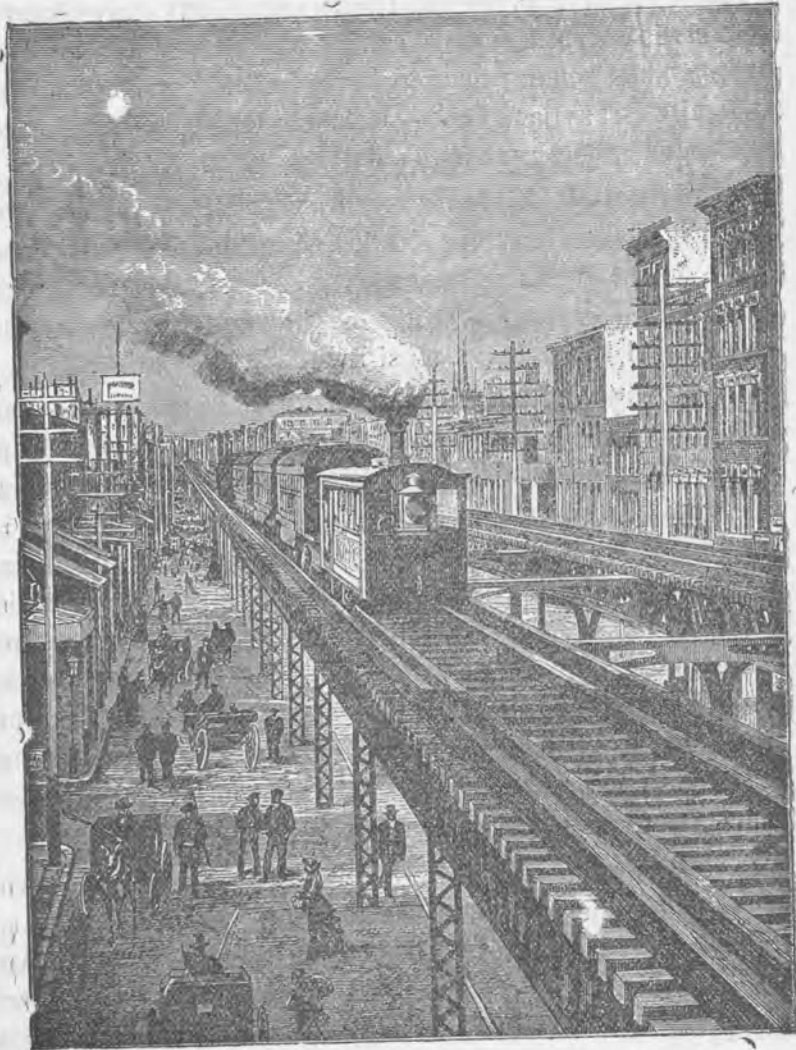
Wobec wysokiego rozwoju przemysłu, dziwić się nie można, że w Stanach Zjednoczonych, nie tylko pośród rolników i plantatorów, ale przedewszystkim pośród przemysłowców znajdują się ludzie niezmiernie bogaci, posiadający już nie miliony, ale tysiące milionów rubli. Bywają tam bogacze, dający za córkami po 10 i 20 milionów rubli posagu.

Wysoki rozwój przemysłu idzie zawsze w parze z rozkwitem handlu wewnętrznego i zewnętrznego, oraz z rozwojem dróg przewozu i przejazdu. Przy największym bogactwie przyrodzonym, kraj, nie posiadający dziś dobrych dróg i kolei żelaznych, musi stać lichy. Tak jest między innymi z Brazylią, gdzie — wobec braku dróg — ani przemysł, ani handel rozwinąć się dotąd nie mogą.

W Stanach Zjednoczonych szczególnie handel wewnętrzny jest olbrzymi. I tak być musi: gdzie ludzi dużo, gdzie potrzeby ich są znaczne, gdzie przytym różne okolice kraju dostarczają odmiennych wytworów przemysłu, tam handel wewnętrzny musi kwitnąć.

Przeciwnie, handel zewnętrzny, z zagranicą, jest mniejszy, niż możnaby się spodziewać. Pochodzi to po części stąd, że rząd Stanów od pewnego czasu stara się przeszkadzać dowozowi towarów obcych, nakładając na nie wysokie cła. Amerykanie spostrzegli, że, mając na miejscu prawie wszystko, co im jest potrzebne do życia, mogą doskonale obywać się bez Europy, — gdy przeciwnie Europa zawsze potrzebować będzie amerykańskiego zboża, futer i t. p. To też sprytni Jankesi ceremonii wielkich nie robią: za zboże każą zagranicy dobrze sobie płacić, a obce towary wysokimi cłami okładają. Sarka na to Europa, — Amerykanie zaś ręce zacierają.

Główny handel Stany Zjednoczone prowadzą z Anglią. Tam idzie amerykańskie zboże, mąka, bawełna, stamtąd napływają różne wyroby fabryczne. Prócz tego Anglija i Norwegja wypożyczają Stanom okrętów handlowych do przewozu towarów, Francja dostarcza im wyrobów jedwabnych, Brazylija — kawy, Kuba — cukru. Tylko z Chinami i Japonją handel dotąd był słaby. Można jednak spodziewać się, że teraz, po zwycięskiej wojnie z Hiszpanją,



KOLEJ NAPOWIETRZNA W NIU JORKU.

po zajęciu Filipinów i przyłączeniu wysp Hawajskich. Stany będą się starały rozwinąć handel z Azją.

Nie nie okazuje tak wyraźnie rozwoju handlu amerykańskiego, jak historia kolei żelaznych i kanałów w Stanach. Kanały wyprzedziły tam koleje. Początkowo, jak wszędzie zresztą, — osady i miasta powstawały przeważnie nad rzekami, które też były głównymi drogami przewozowymi; rzeki te postarano się potem połączyć za pomocą sztucznych kanałów. Obecnie Stany posiadają pięć tysięcy wiorst kanałów. Jeden z nich, mianowicie kanał obwodowy od jeziora Eri do rzeki Hudsonu, okrążający wodospad Niagarski, należy do najwspanialszych budowli inżynierskich: ma 500 wiorst długości i 72 szluzy zamykane. Stanowi on najważniejszą drogę do przewozu zboża z żyznych okolic nad wielkimi jeziorami do Nowego Jorku, głównego portu handlowego Stanów.

Koleje żelazne zaczęto budować w Stanach Zjednoczonych zaraz po ich wprowadzeniu w Anglii, to jest w roku 1831-ym. Pierwsza linja z miasta Albany do Senektadi miała 27 wiorst długości. W dziesięć lat potem Stany posiadały już 5 tysięcy i 700 wiorst kolei żelaznych; w roku 1851-ym—50 tysięcy wiorst; w roku 1831-ym było już 150 tysięcy wiorst, t. j. połowa wszystkich kolei żelaznych na kuli ziemskiej.

Tak szybki rozwój kolei tłumaczy się tym, że Amerykanie budowali koleje nie wtedy, kiedy kraj się zaludniał i stawały się one niezbędnymi, lecz naprzód. Zawiazywały się bogate spółki kolejowe, które budowały koleje przez zupełne pustkowia; ale one właśnie ułatwiały dostęp do tych pustkowi kolonistom, wywoływały ich zaludnienie, powstawanie na nich osad, miast i zakładów przemysłowych. Wspominaliśmy już, że rząd amerykański wszel-

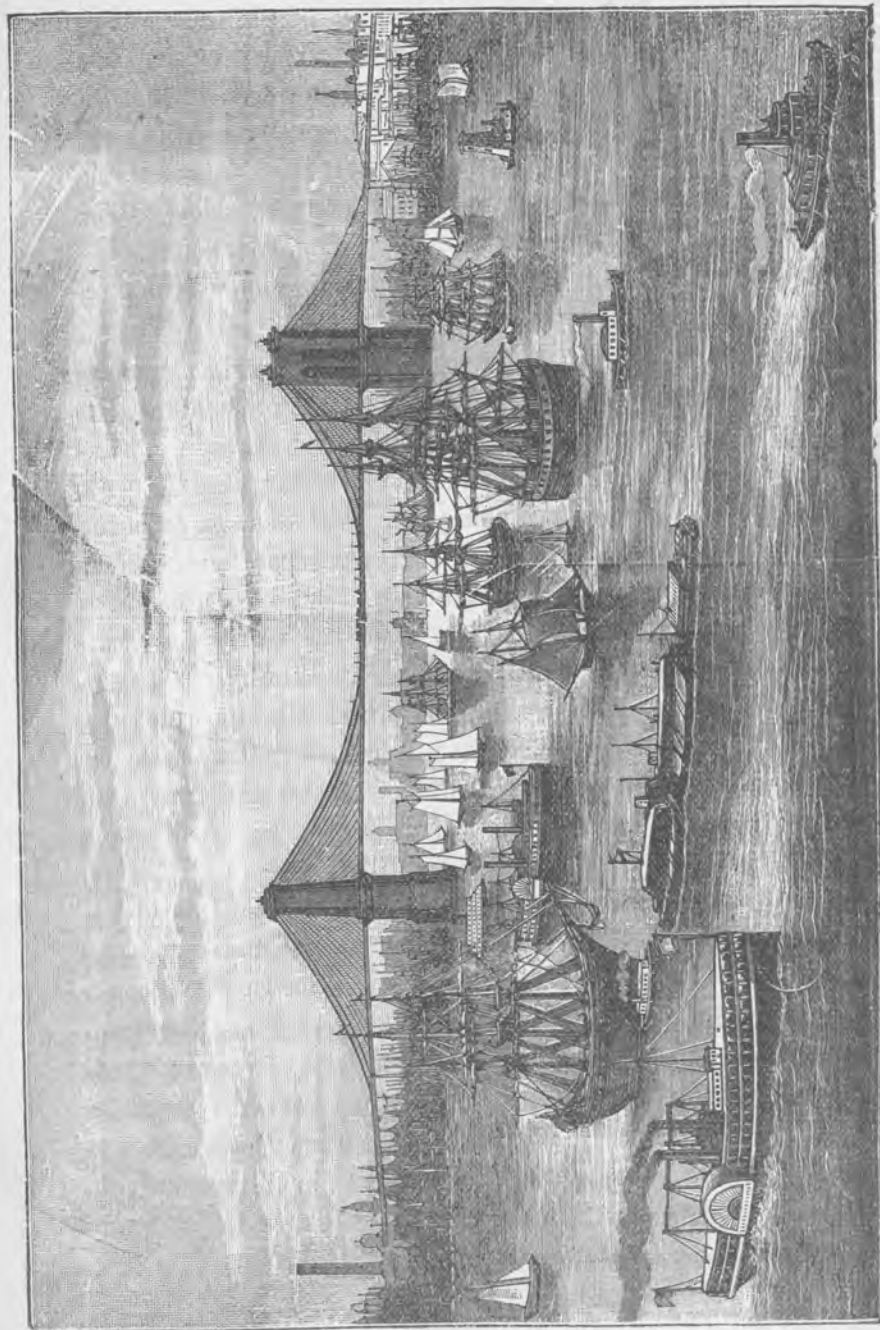
kiemi sposobami ułatwiał przeprowadzanie kolei, dając spółkom nawpół darmo wielkie obszary ziemi, które one potym odprzedawały za wysoką cenę, zarabiając na tym miliony. Spółek tych powstało mnóstwo; przerznięły one całe Stany prawdziwie pajęczą siecią dróg żelaznych, ułatwiając tym stosunki, przejazd i przewóz towarów z najdalszych okolic kraju. Często się zdarza, że między dwoma miastami przebiegają trzy i cztery linje różnych kolei, współzawodnicząc ze sobą cenami. Niestety, w wielu okręgach spółki te, zaprzestawszy współzawodnictwa, połączyły się w związki i dają się dobrze we znaki ludności — szczególnie rolnikom, — wielkim wyżykiem.

Jako przykład szybkiego rozwoju kolei żelaznych w Stanach, możemy przytoczyć jeszcze historję kolei przerzynających wpoprzek ten kraj, od oceanu Atlantyckiego do Wielkiego.

Pierwszą taką linję zbudowano w ciągu lat czterech, od roku 1865 do 1869-go, od Nowego-Jorku do San-Francisko. Teraz jest podobnych linji w Stanach cztery, — a najdłuższa z nich ma 7 i pół tysiąca wiorst. Jak sięśdziesz do wagonu w Nowym-Jorku, to możesz nie wysiadać aż na drugim brzegu Ameryki, w San-Francisko, zużywszy na cały przejazd raptem 5 do 7 dni. Tymczasem jeszcze 40 lat temu trzeba było przejeżdżać tę drogę na wozach zaprzężonych w woły lub muły; podróżowano gromadami, zbrojno — dla obrony od napadów Indjan, z zapasem pożywienia przynajmniej na pół roku.

Samo urządzenie kolei amerykańskich jest wielce różne od naszego.

Najpierw, wszystkie linje są jednakowej szerokości, żeby nie utrudniać przejazdu wagonów z jednej na drugą. Dalej, niema kilku różnych klas: jest tylko jedna dla wszy-



PORT I MOST POD NIU-JORKIEM.

stkich, ale urządzona wygodnie. Wagony są wąskie, dwa razy dłuższe od naszych; pośrodku wagonu przejście; z obu stron fotele, każdy na dwie osoby. Siedzenie miękkie, wybite aksamitem. W każdym wagonie jest naczynie z zimną wodą do picia; lampy elektryczne w nocy rzęsiście oświetlają wagon. Wszędzie są wagony sypialne, niezbędne przy długich podróżach; wszędzie też znajdują się wagony restauracyjne i czytelniane.

Opłata w pociągach zwyczajnych jest niska; wyższą jest w pośpiesznych, idących do 100 wiorst na godzinę, lub w takich, które mają szczególnie dogodne połączenie z innymi pociągami. Przy przejazdach nie widać nigdzie dróżników ani szlabanów, zamykających przejście; za to przed każdym przejazdem maszyna gwizdże przeraźliwie, ostrzegając zdaleka o swoim zbliżaniu się. Podobno jednak wypadki przejechania na linii są w Ameryce wcale nie częstsze, a nawet rzadsze, niż u nas. Tak zwykle bywa że, im mniej człowieka pilnują inni, im mniej się nim opiekują, tym więcej sam się strzeże, sam o swoich potrzebach pamięta — i lepiej na tym wychodzi. O ruchu panującym na kolejach amerykańskich daje pojęcie to, że w miastach bardzo handlowych zbiega się po kilkanaście linii kolejowych, a co parę minut jakiś pociąg przychodzi lub odchodzi. W Nowym-Jorku kolej idzie nawet nad miastem, nad domami, po szynach, ułożonych na wysokim rusztowaniu.

Taki sam ruch, jak na kolejach, widać także w portach morskich, na rzekach i kanałach. Setki i tysiące okrętów i statków najrozmaitszej wielkości i kształtu krążą po wszystkich wodach, rozwозяc ludzi i towary; wszędzie słychać przeraźliwy gwizd pary, szum kół i śrub okrętowych, widać lasy masztów i kłęby dymu, unoszące się z wysokich kominów parostatków.

Gdzie spojrzeć — na lądzie i na wodach — wre i kipi życie dzielne, potężne, życie prawdziwych ludzi, a nie rozlazłych, w niczym nie umiejących sobie radzić ślimaków.

## VII. Miasta w Stanach Zjednoczonych.

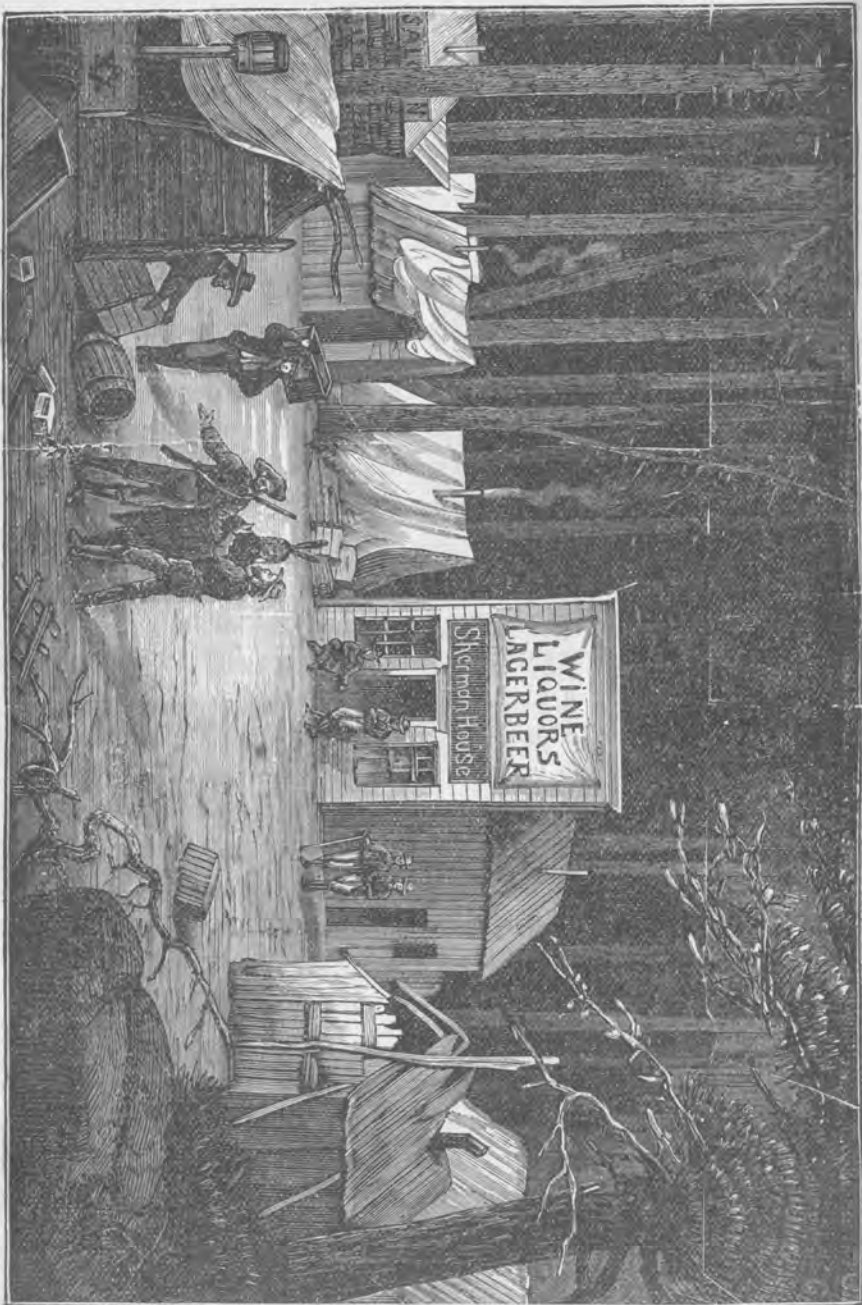
Prawie wszystkie większe miasta Europy mają to do siebie, że są bardzo stare; dla wielu trudno nawet dobrać się początku, który zazwyczaj ginie w pomroce bajecznych podań. Choćby u nas: kto wie napewno o początku Warszawy, czy Lublina? — Zaledwie parę wielkich miast europejskich, jak Petersburg, Odesę, Łódź można nazwać młodemi. Tymczasem w Stanach Zjednoczonych niema miast starych: wszystkie są świeże, liczące niewiele więcej nad dwie setki, a niektóre kilkadziesiąt lub kilkanaście lat; są też takie, które teraz dopiero zaczynają zakładać.

Powiadają, że w Ameryce miasta powstają „jak grzyby po deszczu“. Gdzie przejdzie nowa kolej, tam wzdłuż linii natychmiast zakładają miasta. Każda nowa fabryka, kopalnia, każda przystań dogodna przy zlewie dwóch rzek daje początek osadzie, która przy dogodnych warunkach szybko rozrasta się w duże miasto.

Powstawanie miast w Stanach możnaby przyrównać do zakładania nowej wsi na gruncie rozparcelowanym. Koloniści przychodzą na ziemię nową, rozmierzają ją na części, wytykają drogi i stawiają budynki: tak samo jest w Stanach Zjednoczonych z miastami. Gdy amerykanie spostrzegą, że w pewnym miejscu byłoby potrzebne miasto, nabywają grunta, odmierzają je, wytykają ulice podłużne i poprzeczne, wszystkie proste, pod linią, przecinające się

pod kąta prostym. Gdzie trzeba, zostawiają naprzód place na rynki i ogrody—i zabierają się do budowy. Kolej gorączkowo dowozi drzewo, cegły i inne materiały; tysiące ludzi zaprzęga się do pracy—i w ciągu paru lat staje miasto z długimi ulicami, z setkami kamienic, kościołem, domem rady, bankiem, teatrem, salą odczytów i zabaw, ze stacją kolei żelaznej, telegrafem, telefonami, a może i redakcją nowej gazety. Dalszy rozwój miasta zależy już od warunków miejscowych. Jeśli są one rzeczywiście dogodne, w mieście zapanuje ruch i życie — i po kilku dziesiątkach lat staje się ono już sławnym. W przeciwnym razie miasto pędzi czas jakiś żywot suchotniczy, mieszkańcy się z niego rozjeżdżają, domy pustoszeją i walą się, i tylko świeże zwaliska świadczą, że tam niedawno żyli ludzie. Tak bywa szczególnie z miastami, zakładanymi przy prędko wyczerpujących się kopalniach, np. przy kopalniach ropy: póki dają one obfitość ropy, miasto rozwija się i bogaci; niech źródła się wyczerpią, miasto znika lub przenosi się do nowej kopalni. Rozumie się, że takie miasta czasowe budują też byle jak: wyglądają one raczej, jak nasze osady przy dużych fabrykach, różniąc się wszakże od nich tym, że posiadają wszelkie udogodnienia, niezbędne do życia, — amerykańsin bowiem pracuje szczerze w ciągu dnia, ale wieczorem musi się zabawić, poczytać gazetę, nagadać z przyjaciółmi, pośmiać się serdecznie i pośpiewać.

Dla przykładu weźmy historję paru ważniejszych miast w Stanach Zjednoczonych. W roku 1614-ym przy ujściu rzeki Hedzonu do Atlantyku, na ziemi zajętej dookoła przez Indian, koloniści holendersey zbudowali małą forteczkę i 4 domki — i nazwali tę osadę Nowym Amsterdamem. Był to zarodek dzisiejszego Niu-Jorku, liczącego przeszło dwa miliony mieszkańców i zajmującego 100



POCZĄTEK MIASTA AMERYKANSKIEGO.

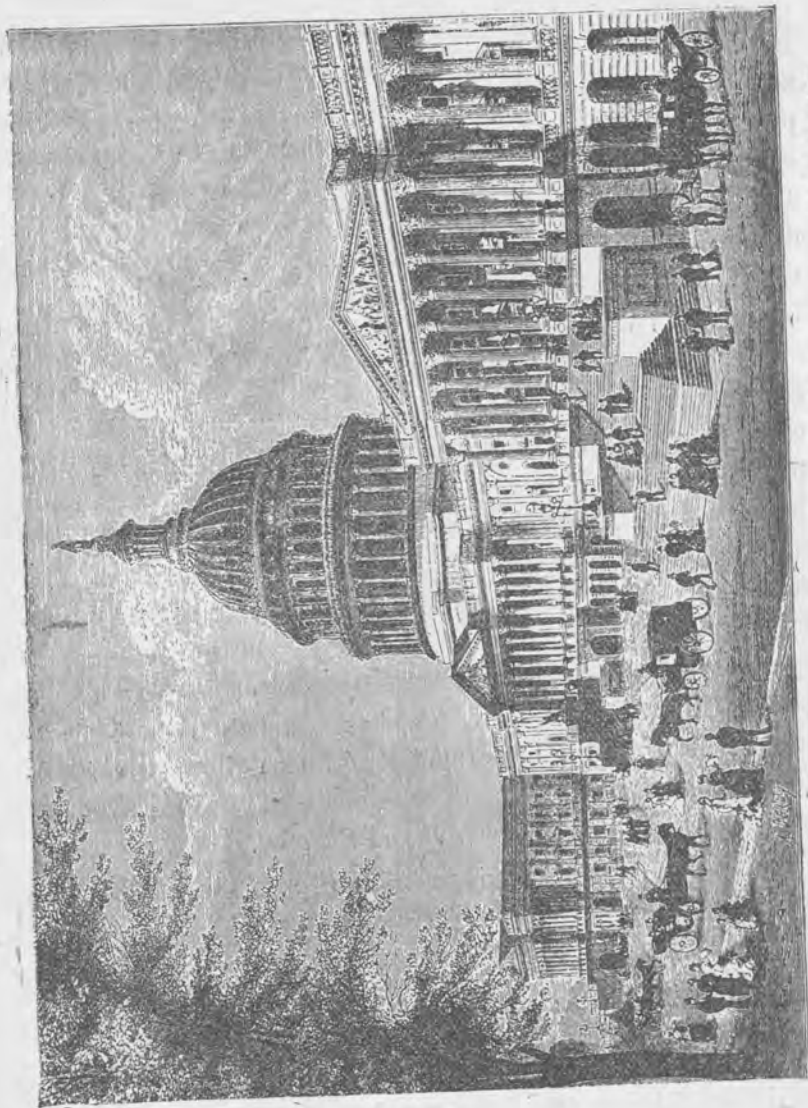
wiorst kwadratowych obszaru... Osada rosła początkowo bardzo wolno, tak, że w czasie podbicia jej przez Anglików, którzy przerobili jej nazwę na Niu-Jork, miała zaledwie dwa tysiące mieszkańców. W sto lat później, po wypędzeniu Anglików, gdy całe Stany zaczęły szybko się wznosić, Niu-Jork dzięki znakomitemu położeniu handlowemu rozwinął się nadzwyczajnie i stał się najludniejszym, najbardziej przemysłowym i handlowym miastem Stanów.

Nawiasem dodamy, że nie on jednak jest stolicą tego państwa: miastem stołecznym jest tam Waszyngton, znacznie od Niu-Jorku mniejszy, nazwany na cześć Jerzego Waszyngtona.

Jak wszystkie miasta wielkie, Niu-Jork przedstawia dzielnice czyli kwartaly, różniące się między sobą wyglądem, zatrudnieniem, a poczęści i pochodzeniem mieszkańców.

Na ulicach roi się prawdziwe mrowisko ludzi, śpieszących za interesami, tysiące wozów, pojazdów, tramwajów; słycać turkot, krzyki i wołania, dzwonki, gwizd i sapanie pociągów, pędzących ponad dachami. Same domy wysokie, po kilka i kilkanaście pięter, zawieszane ogromnemi znakami sklepów. Na wszystkich ścianach bocznych, parkanach i t. p., widać malowane olbrzymie ogłoszenia; tu wóz, dziwnie przybrany, daje znać o jakichś szczególnych wyrobach; tam idzie człowiek z wielkimi tablicami na piersiach i plecach. Niemasz narodowości, którejbyś nie spotkał na ulicach Niu-Jorku, — zaczawszy od sztywnego jankesa, a kończąc na czarnym murzynie, żółtym japończyku, żydzie handlarzu, przybyłym z zapadłego kąta Litwy, lub chłopie polskim, spoglądającym lękliwie na nowe, nieznanne sobie otoczenie.

Na rzece i kanale morskim, oddzielającym Niu-Jork



MIASTO WASZYNGTON — STOLICA STANÓW ZJEDNOCZONYCH.



od sąsiedniej wyspy, sterczą tysiące masztów okrętowych, snują się leniwie parostatki, pływają łodzie i łódki.

Po drugiej stronie kanału znajduje się wielkie miasto Bruklin, liczące przeszło milion mieszkańców i połączone z Niu-Jorkiem dwuwiorstowym mostem, przerzuconym przez morze. — Nieco na północ od Niu-Jorku, leży inne ogromne miasto — Boston. Początek jego sięga roku 1623-go, gdy pewien osadnik, chcąc żyć zupełnie swobodnym od innych ludzi, zbudował sobie w tym miejscu chatę. Teraz Boston ma do miliona ludności, a rozumem politycznym i wykształceniem swoich mieszkańców przoduje innym miastom Stanów. — Jeśli o jakim mieście można powiedzieć, że wyrosło jak grzyb, to przedewszystkim o Czykago, które sami amerykanie „miastem-grzybem“ przezywają. Są ludzie, którzy doskonale jeszcze pamiętają jego początek. W roku 1804-ym rząd Stanów zbudował na południowym krańcu jeziora Meczygan drewnianą forteczkę, dokola której zaczęli rozbijać swoje namioty kupcy i inni osadnicy. W roku 1830-ym było tam już — 100 mieszkańców. Odtąd, przeważnie wskutek napływu najrozmaitszych emigrantów, Czykago zaczęło rosnać gwałtownie — i obecnie ma przeszło półtora miliona mieszkańców, stanowiąc jedno z najbardziej handlowych i przemysłowych miast w środkowej części Stanów.

Niema chyba drugiego miasta na świecie, gdzieby ludzie tyle pracy potężnej włożyli w tak krótkim czasie, jak w Czykago. Przedewszystkim całe miasto stoi na ogromnym nasypie sztucznym, gdyż z powodu wilgotności gruntu trzeba było wszędzie podnieść poziom jego o kilka łokci. Ponad kanałami, przecinającymi miasto, przerzuciono dziesiątki mostów. Dwa tunele podziemne łączą północną część Czykago z południową; dwa inne tunele trzy-



wiorstowe idą od jeziora, dostarczając miastu olbrzymiej ilości wody. Nieczystości miejskie przy pomocy pomp zostają wyprowadzone daleko za miasto do rzeki, wpadającej do Mississipi, a więc nie zanieczyszczają jeziora, dostarczającego wody.

Mieszkańcy Czykago szczycą się temi urządzeniami, i mają do tego słuszne prawo. Wogóle lubią oni wszystko robić w wielkich rozmiarach. Domy np. budują na 10, 12 i 20 pięter! Jużćie na taką wysoczyznę niepodobna dostawać się po schodach; zamiast nich jest tam urządzenie zwane windą. Chcesz dostać się do mieszkania np. na 10-te piętro: wchodzisz na dole do małego pokoiku i dajesz sygnał dzwonkiem. Natychmiast pokoik z tobą razem jedzie w górę, zatrzymuje się na 10-em piętrze— i ty wysiadasz. W taki sam sposób zjeżdża się nadół.

O przemyśle i ruchu handlowym Czykago świadczy dostatecznie to, że 27 linii kolejowych dochodzi do tego miasta, 30 tysięcy statków przybija rocznie do jego przystani nad jeziorem, a wartość obrotów handlowych rocznych oceniają przeszło na dwa i pół miljarda rubli.

W tym to mieście Czykago mieszka obecnie najmniej 200 tysięcy polaków, przybyłych na stałe lub czasowo z różnych stron kraju. Bieda tam między niemi, bo, jakeśmy mówili, zwykle tylko najcięzsze, a najgorzej płatne, roboty amerykańskie oddają przybyszom.

Wymieniać innych wielkich miast w Stanach nie będziemy — jest ich bowiem bez liku. Podajemy tylko rysunek osady, świeżo założonej pośród lasu, oraz widok miasta Denweru z r. 1858-go, 1859-go i 1885-go, dla pokazania, w jaki sposób miasta amerykańskie się rozwijają.

### VIII. Stan oświaty i urządzenie wewnętrzne Stanów Zjednoczonych.

Lat temu dwieście pewien angielski zarządca Stanu Wirginji rzekł w jednej ze swoich mów: — „Bogu dzięki, nie mamy u siebie ani szkół, ani drukarni,—i jest nadzieja, że za lat sto jeszcze ich mieć nie będziemy!“ — Gdyby ten dostojnik mógł zmartwychwstać, z pewnością napowrót położyłby się do grobu na widok tego, co się teraz dzieje w Stanach Zjednoczonych...

Zaledwie parę krajów Europy: Norwegja, Danja, Szwajcarja mogą w oświacie stać narówni ze Stanami.

Istnieje tam prawo, że każda, najmniejsza nawet wieś musi mieć szkołę początkową, a w każdym mieście winna być szkoła średnia; przytym nauka jest obowiązkową dla wszystkich dzieci i w szkołach początkowych bezpłatną. Każdy Stan posiada ogromne fundusze, które obowiązany jest zużyć na cele oświaty; stąd roczny wydatek na szkoły wynosi tam przeszło 500 milionów rubli.

Ilość uczących się w szkołach jest wielką: w jednym ze Stanów, liczącym 2 i pół miliona ludności, piąta część, mianowicie 450 tysięcy dziatwy i młodzieży uczęszcza do szkół. Tylko w zapadłych kątach, oraz w tych Stanach, gdzie przebywa dużo emigrantów z Europy, nieprzywykłych do kształcenia się, ilość uczniów jest mniejszą. To samo zauważyć się daje w okręgach fabrycznych: łatwość zarobku bywa dla rodziców smutną pokusą do posyłania dzieci raczej do fabryki, niż do szkoły.

Nie mamy pod ręką liczb świeżych, ale lat temu dzie sięć, na 64 miliony owoczesnej ludności, było w Stanach:

- 184 tysiące szkół;
- 400 tysięcy nauczycieli;
- 14 i pół miliona uczniów.

Szkoły amerykańskie ludowe dzielą się na ogólne — utrzymywane lub wspierane przez rząd, i wyznaniowe (t. j. katolickie, ewangelickie i inne) — zakładane przez osoby prywatne. Urządzenie wewnętrzne szkół, sposób prowadzenia nauki, środki pomocnicze, a co najważniejsza dobór nauczycieli — nie pozostawiają nic do życzenia. Nauczyciele są wysoko wykształceni, dobrze płatni, pracują z prawdziwym zamiłowaniem, tymbardziej, że są to przeważnie kobiety, a do nauki dzieci niemasz lepszego nauczyciela nad rozumną, sumienną, a pełną serca kobietę.

Wszyscy przyznają, że szkoły początkowe dla działy stanowią prawdziwą chlubę Stanów Zjednoczonych.

Poza niemi, oczywiście, jest wiele szkół średnich i wyższych: kolegów, instytutów, akademji, szkół zawodowych, technicznych i uniwersytetów. Szkoły wyższe utrzymywane są najczęściej przez towarzystwa świeckie lub duchowne, albo przez osoby prywatne; rząd ogólny Stanów łoży tylko na parę szkół wojskowych, przeznaczonych do kształcenia oficerów morskich i lądowych.

O ile szkoły ludowe amerykańskie stoją wysoko, o tyle szkoły najwyższe, szczególnie uniwersytety, nie cieszą się w Europie dobrą sławą; niektóre tylko dorównują europejskim. Za to szkoły techniczne i zawodowe są wyborne. Tłómaczy się to ogólnym składem dotychczasowego życia Stanów: gorączkowy rozwój przemysłu wymagał dla siebie wielu pracowników wykształconych, na nich więc zwrócono główną uwagę. Niewątpliwie jednak z czasem zjawi się potrzeba wyższej nauki, sztuk pięknych i t. p., wtedy i uniwersytety amerykańskie staną się innemi.

Ważną cechą szkół wyższych w Stanach jest to, że uczą się w nich kobiety narówni z mężczyznami; stąd jest

tam wiele kobiet lekarzy, adwokatów, nauczycielek, a nawet inżynierów, sędziów i t. p.

Najlepsze jednak szkoły nie są w stanie uczynić za- dość wszystkim potrzebom duchowym społeczeństwa rozwinętego. Amerykanie doszli do przekonania, że nauka wyższa powinna być udziałem nie tylko tych szczęśliwców, którym zamożność i opieka rodziców pozwoliła przebyć szkoły średnie i wyższe, — że do światła mają prawo również ci, którzy muszą pracować rękami, którzy zajmują w społeczeństwie poślednie stanowiska, a jednak pragnęli- by uszlachetnić swą duszę wiedzą. W myśl tego zaczęły się tam rozpowszechniać wykłady ludowe z różnych nauk dla dorosłych. Urządzają je po całym kraju ludzie zacni, a wykształceni, zbierając gromady słuchaczy z pośród ludu miejskiego i wiejskiego. Prócz tego zakładają się wszędzie czytelnie bezpłatne, urządzają odczyty i pogadanki ze wszystkich dziedzin wiedzy; powstają towarzystwa, mające na celu układanie kursów dla samouków, dawanie im wskazówek, ułatwianie kupna książek i t. p. Wszystko to robi się i w różnych krajach Europy, ale idzie wolniej, z tym tępym namysłem i ospałością, której dawno pozbyli się Amerykanie.

W związku z ogólnym rozwojem oświaty jest wydawnictwo książek i gazet w Stanach. Książek jednak drukuje się tam znacznie mniej, niż należałoby się spodziewać. Pochodzi to stąd, że Amerykanin posługuje się chętnie książkami europejskimi; a powtóre, o ile uczy się on pilnie, będąc dzieckiem i młodzieńcem, o tyle potem, wszedłszy w życie praktyczne, często niewiele ma czasu na czytanie książek. Zresztą, gdy chce się kształcić, posiada na każdym kroku bogate czytelnie i biblioteki publiczne, książek więc kupować wiele nie potrzebuje.

Inaczej jest z gazetami. Biorąc czynny udział w życiu przemysłowym, handlowym i politycznym, każdy amerykańczyk musi wiedzieć, co się dzieje w kraju i zagranicą, — musi więc czytać gazety. A znajduje ich mnóstwo ogromne, wszelkiej ceny i wielkości, wychodzi bowiem w Stanach przeszło 15 tysięcy różnych gazet (między nimi do 30 polskich).

Jak wszystko w Ameryce, gazety te, szczególnie codzienne, odznaczają się wielką praktycznością, zajmując się wyłącznie prawie sprawami bieżącymi: pełno w nich nowin i wiadomości, ale nauki mało. Część znaczną zajmują szumne, przesadne ogłoszenia o różnych świetnych interesach, a w czasie wyborów — artykuły polityczne, wysławiające pod niebiosa jednych kandydatów, a wymyślające, na czym świat stoi, przeciwnikom. Prócz tego każda wielka spółka przemysłowa czy handlowa, każde wielkie przedsiębiorstwo, posiadają własne gazety, które ich spraw — uczciwych czy nieuczciwych, za pieniądze bronią. Stąd gazety amerykańskie często nie cieszą się takim szacunkiem, jaki otacza np. gazety nasze. Gazeta i książka, szczególnie pisane dla szerokich warstw narodu, dla ludu, winny być świecznikami prawdy i uczciwości nieposzlakowanej.

Dużo dałoby się powiedzieć o obyczajach amerykańskich, o stosunkach rodzinnych, wychowaniu dzieci i t. d. Musimy jednak się ograniczyć, tymbardziej, że od samych Amerykanów dowiedzieć się o tym wszystkim trudno, a nasi Europejczycy, jak zwykle w takich razach, piszą o Amerykanach wiele fałszów i bezzasadnych wyśmiewań. Razi np. naszych europejskich elegantów pewna szorstkość w obejściu się Amerykanina, — ale zapominają oni, że ten Amerykanin jest najgrzeczniejszym na świecie człowiekiem względem kobiet i najwięcej okazuje im na każdym

kroku szacunku, a nigdzie w Europie dzieci nie doznają takiej serdecznej opieki publiczności, jak w Stanach. Możemy śmiało wybaczyć Amerykaninowi brak wyszukanej grzeczności — boć to człowiek, który, jak nie sam, to ojciec jego lub dziad, z chaty wieśniaczej lub robotniczej wyszedł, gdzie twarda praca nie dozwalała na zbyt dużą delikatność. Nie wybaczymy mu tylko wtedy, gdy pod tą grubą powłoką nie znajdziemy serca ludzkiego, bijącego żywo dla wszystkiego, co dobre, szlachetne i piękne. Niestety! w pewnej części społeczeństwa amerykańskiego zapanała już cześć złota, „dolar“, rozpanoszył się geszeft, który może zagłuszyć najszlachetniejsze strony duszy ludzkiej, jeśli nie napotka dzielnego przeciwdziałania.

Nazwa „Stany Zjednoczone“ pokazuje już, że jest to państwo, składające się z wielu pojedynczych, odrębnych krajów, a raczej części, złączonych ze sobą w Związek. Przed 120-tu laty, kiedy państwo to się tworzyło, krajów owych, czyli Stanów, było 13. Każdy z nich — mimo dość podobnej ludności i jej obyczajów, przedstawiał osobną całość, posiadającą własne prawa i urzędy, bądź nadane pierwotnie przez królów i zarządców angielskich, bądź samodzielnie wyrobione. Po wojnie z Anglią i przyznaniu przez nią niezależności, 13 kolonji złączyły się w jedną całość, jedną republikę, mającą w rzeczach ważnych, a ogólnych, jedno prawo i jeden rząd. Swoją drogą, w sprawach miejscowych, każdy Stan zachował sobie rząd własny.

Dlatego w wielu Stanach co do tych samych stosunków spotykamy zupełnie różne prawa: w jednym np. zupełnie nie wolno sprzedawać napojów spirytusowych, w sąsiednim są one dozwolone; tutaj wsadzają do kozy kawalera, który obiecał listownie żenić się z panną, a obietnicy nie dotrzymał, a w innym Stanie prawo wprost zmusza go

do żeniaczki. W każdym jednak Stanie istnieje zupełna wolność osobista, wolność słowa i sumienia; urzędnicy są wybieralni i odpowiedzialni przed narodem. Prezydenta Stanów Zjednoczonych wybierają na lat 4, z prawem ponownego wyboru. Wogóle konstytucja St. Zjednoczonych jest jedną z najlepszych i najbardziej demokratycznych.

W miarę zajmowania przez osadników nowych obszarów, nie wolno było przyłączać ich do istniejących już Stanów, lecz początkowo, póki ludności było mniej nad 60 tysięcy, stanowiły one terytorja, a potem stawały się nowymi Stanami. W taki sposób ilość Stanów nieustannie rosła — i dziś jest ich już 45, a prócz tego są jeszcze 3 terytorja. Spojrzawszy na mapkę Stanów, dziwimy się, że jest ona prawidłowo pokratkowana. Pochodzi to właśnie stąd, że obszary świeżo zajmowane prawidłowo rozmiarano, więc i granice wypadły foremne, w linjach i kątach prostych. Sztandar państwowy Stanów przedstawia 45 gwiazd złotych na tle błękitnym: oznaczają one 45 Stanów.

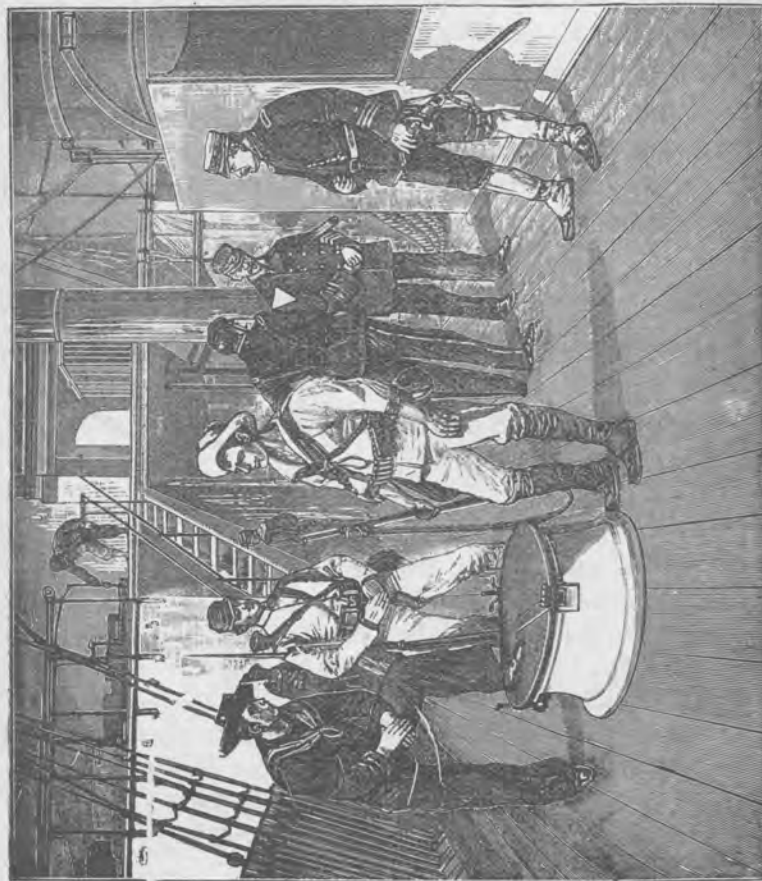
Nie wspominaliśmy dotąd nic o wojsku w Stanach Zjednoczonych, bo naprawdę niewiele jest o nim do powiedzenia. Ponieważ państwo to do ostatnich czasów prawie nie prowadziło wojen, a nie ma wcale sąsiadów groźnych u siebie, przeto nie potrzebowało utrzymywać stałej armji.

Całe wojsko tego milionowego Związku składa się na stopie pokojowej z 26 tysięcy żołnierzy z ochotników od 18 do 35-go roku życia, służących po lat 5, z prawem zostania na drugą służbę.

W razie wojny, ilość wojska może być nieograniczoną.

Prócz tego każda gmina i miasto posiadają t. zw. milicję narodową, która służby nie pełni stale, ale odbywa mustry, występuje na paradach i w razie potrzeby dostarcza potym ochotników. Do milicji zaciągają się wszyscy obywatele zdolni nosić broń.

Co się tyczy floty, to, prócz licznych okrętów handlowych, Stany posiadają wcale dobrą flotę wojenną, zdolną zabezpieczyć ich handel morski, a w razie potrzeby i stanąć dzielnie do boju, jak tego dowiodła w ostatniej wojnie z Hiszpanją.



MARYNARKA WOJENNA ST. ZJEDNOCZONYCH.

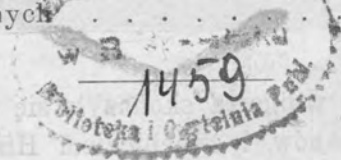
Wiadomo, że wojna ta skończyła się zupełnym zwycięstwem Amerykanów i zgnębieniem Hiszpanji. Stany Zjednoczone, na mocy zawartego pokoju, zyskały ogromne

posiadłości, w postaci wysp Portoryka i Filipińskich, uży-  
 skały też nad Kubą opiekę, która prawdopodobnie skończy  
 się zupełnym przyłączeniem tej wyspy. Ale z drugiej  
 strony weszły one na ślizką drogę podbojów, zmuszone zo-  
 stały wciągnąć się w zamęt interesów państw innych, co  
 doprowadziło do znacznego powiększenia wojska i floty.  
 Już teraz mówią o 100-tysięcznej armji, — a za lat kilka  
 może ona wzrosnąć parokrotnie. — Jakie skutki wyrzuci  
 nowa zmiana w historii Stanów na dalsze ich losy, jak od-  
 bije się ona na wewnętrznym życiu i rozwoju mieszkań-  
 ców, trudno przesądzać: to pewna jednak, że stają się one  
 coraz podobniejszymi do państw starej Europy.



**SPIS ROZDZIAŁÓW** Białymstoku

	<i>Str.</i>
I. Stany Zjednoczone Ameryki północnej, ich po- wstanie, położenie i granice . . . . .	3
II. Przyroda Stanów Zjednoczonych . . . . .	8
III. Ludność indyjska, biała i czarna . . . . .	19
IV. Rolnictwo, sadownictwo, hodowla bydła, trzody chlewnej i t. p. . . . .	34
V. Przemysł górniczy Stanów Zjednoczonych . . . . .	59
VI. Przemysł fabryczny, handel i koleje żelazne . . . . .	65
VII. Najważniejsze miasta w Stanach Zjedn. . . . .	73
VIII. Stan oświaty i zarządzenie wewnętrzne Stanów Zjednoczonych . . . . .	81



edl.

1459